Lwów, Niedziela dnia 1. Kwietnia 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 18.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

CZEŚĆ ZASŁUDZE.

Jedną z najwalniejszych zasad praktycznego życia jest skupianie sił, tak fizycznych, jak moralnych, i umiejętne ich używanie. Jest to prawda tak pospolita, że wiedzą o niej nawet żaki szkolne, a wiejskie baby przy każdej sposobności powtarzają ją swym mężom i synom. Z tem wszystkiem jestto jedna z owych prawd, o której nigdyśmy dość nie pamiętali i o której do dziś dnia zapominamy, zwykle wtedy właśnie, kiedy najbardziej byśmy o niej pamiętać powinni.

Nie umieliśmy i nie umiemy dotąd liczyć się z siłami i zamiary swe obmyślamy nie podług tego, co jest zgodnem z posiadanymi przez nas środkami, co jest dobrem i odpowiedniem narodowemu zadaniu, co jest, słowem możliwem i użytecznem; ale podług tego, co jest dobrem bezwzględnie, co jest ładnem, co się nam podoba. Ponieważ gustów i guścików jest wiele, więc też i zamiarów powstaje moc nieskończona, a wszystkie one prowadzą do jednego rezultatu, do marnowania sił, żadnej korzyści narodowi nie przynoszących. Jeżeli bowiem wśród tej powodzi zamiarów i celów, ku spełnieniu których wzywamy zbiorowego poparcia, i znajdzie się jedno lub dwa istotnie pożytecznych, to już przez to samo, że postawione są razem z innemi, skazują się na bezowocność, z powodu, że rozproszone na wszystkie strony siły okażą się za słabe do podołania zadaniu.

Że tak, a nie inaczej u nas dzieje się, dowodzi tego historja naszej przeszłości, dowodzi tego praktyka tak publicznego, jak i prywatnego życia naszego. Nie jest naszym zamiarem wchodzić w szczegóły różnego rodzaju, któreby wykazały, że oskarżenie nasze nie jest bez podstawy. Ograniczamy się tu do jednego tylko.

Nikt nam zarzucić nie może braku ofiarności, gotowości popierania pieniądzmi każdej sprawy, która się nam podoba. Ale cóż, kiedy zwykle albo podoba się nam nie to, co jest istotnie dobrem dla kraju i użytecznem, albo podoba się nam naraz tyle pięknych rzeczy, że nie mogąc żadnej odrzucić, popieramy więc wszystkie i wszystkie skazujemy na zmarnienie. Nie zastanawiamy się, że między pięknemi i dobremi są jeszcze piękniejsze i lepsze, że mając siły dość ograniczone, a potrzeby nader liczne, powinniśmy dbać przedewszystkiem o to, ażeby najprzód to zostało zrobionem, co zrobionem być musi, jeżeli nie chcemy narazić na szwank narodowej sprawy. Zapominamy, że w wyjątkowem naszem położeniu jedynem kryterjum w ocenianiu tego, co jest dobrem i pożądanem w naszych zamiarach i usiłowaniach, jest sprawa narodowa, jest podźwignięcie narodu pod względem oświaty i dobrobytu i utrzymanie w nim na jednej wysokości patrjotycznych uczuć. Co się nie da podciągnąć pod którąkolwiek z tych kategorji, to musi być uważanem za rzecz jeżeli nie szkodliwą wprost, to szkodliwą pośrednio, za taką rzecz, która absorbuje siły bez żadnej dla narodu korzyści.

Do takich z pozoru niewinnych, a w gruncie szkodliwych rzeczy, do takich zamiarów pięknych, ale powiększej części żadnego pożytku narodowi nieprzynoszących, do takich celików zbiorowego usiłowania, utrudniających spełnienie głównego celu, jest panująca u nas obecnie mania stawiania pomników wszystkim świętym i nie świętym.

Stawianie pomników ludziom zasłużonym krajowi pod jakimkolwiekbądź względem uważamy nie tylko za rzecz piękną, ale za rzecz godziwą i użyteczną dla narodu. Jest to pewien rodzaj propagandy patrjotycznych uczuć, tem skuteczniejszy, że przemawia żywo do serca ogółu, że potrąca w niem wszystkie strony, składające się zwykle na zacne czyny, któremi się zdobywa wdzięczność narodu.

Otóż, gdybyśmy byli tak bogaci, żeby nas starczyło na zaopatrzenie wszystkich naszych potrzeb, nic byśmy nie mieli przeciwko wystawianiu pomników wszystkim w ogóle, kto tylko zasłużył na naszą wdzięczność. Tak jednakże nie jest. Kraj nasz — mniejsza o przyczyny — jest bardzo ubogim, a potrzeby są tak liczne, że świętą powinnością jest każdego dobrze się namyśleć, zanim grosz swój złoży w ofierze dla jakiej sprawy publicznej, a namyśleć się nie w tym celu, by miał kłaść na szalę ze sprawą publiczną swe własne interesy, ale w tym, żeby z pomiędzy spraw publicznych wybrał te, które są najważniejsze i dla których wszelka zwłoka może być szkodliwą.

Stawianie pomników papieżom i namiestnikom może być bardzo chwalebnem, a nawet bardzo użytecznem dla pewnych dążności i zasad, żeby jednakże ta dążność i zasady miały coś wspólnego z potrzebami kraju, żeby mogły przyczynić się choć w najmniejszej rzeczy do podniesienia rolnictwa, które jest u nas w zaniedbaniu, do podźwignięcia przemysłu, który jest u nas w zarodzie, do rozszerzenia oświaty, która zaledwie w ciasnych sferach utrzymuje się, do rozniecenia uczuć patrjotycznych, które u nas nie zawsze i nie wszędzie goreją czystym ogniem miłości Ojczyzny — w to pozwalamy sobie wątpić. Mówimy tu o zamiarze stawiania pomników Piusowi IX i Gołuchowskiemu. Nie wchodzimy tu w to, czy i jak dalece dwie te osobistości zasługują na wdzięczność narodu, ażeby ich pamięć przekazywać dalszym wiekom ku uczczeniu. Zapytujemy tylko, czy, mając jednocześnie stawiać pomnik Mickiewiczowi i urządzać bursę imienia Sapiehy, nie powinniśmy się zastanowić, która z tych czterech spraw, domagających się zbiorowego poparcia, jest ważniejszą i potrzebniejszą, która z nich najbardziej odpowiada owemu, powyżej oznaczonemu przez nas kryterjum do ocenienia zbiorowych prac? Sądzę, że na pytanie to nikt nie odpowie przecząco, że każdy się zgodzi, iż podobne zastanowienie się jest koniecznem.

Jakiż może być wypadek tego zastanowienia? Oto, że przedewszystkiem powinniśmy się zająć wystawieniem pomnika Mickiewiczowi, którego dziełom zawdzięczamy najświętsze nasze uczucia, najwznioślejsze skłonności i popędy serca, którego pieśni pozostaną dla nas czemś na kształt tęczy, zapewniającej nam pogodniejszą przyszłość, arką przymierza, przechowywującą tajemnicę zbawienia

naszego. To nam nakazuje nie tylko wdzięczność, ale nawet wzgląd na korzyść; pomnik bowiem Mickiewicza, przemawiając do serca każdego, komu nie są obce jego dzieła, stanie się potężnym czynnikiem w nastrajaniu uczuć ogółu do nuty patrjotycznych usiłowań. Po Mickiewiczu pierwsze miejsce musi zająć bursa imienia Sapiehy, najprzód dla tego, że życie ks. Sapiehy ściślej było związane ze sprawami naszego narodu, jak życie Piusa IX i Gołuchowskiego, a powtóre, że sam sposób, w jaki naród pragnie okazać swą wdzięczność ks. Sapieże, jest jednym z tych, którzy czyniąc zadość uczuciom, jednocześnie przynosi olbrzymi pożytek krajowi.

Z dwoma temi zbiorowemi przedsięwzięciami mogą współzawodniczyć tylko takie sprawy, które wiążą się z innemi narodowemi zdaniami. Otóż stawianie pomnika ani Piusowi ani Gołuchowskiemu nie są tej natury, nie czynią one zadość ani uczuciu wdzięczności, ani żadnej z nagłych potrzeb narodowych. Dla tego też w imię sprawy narodowej, której wiele zależy na tem, ażeby nie marnować sił na bezcelowe zamiary, lecz wszystkie swe usiłowania kierować ku jednemu zadaniu, wzywamy wszystkich, których serca nie zostały zaskorupione w grubą powłokę koteryjnych uprzedzeń, którzy czują, jak Bóg przykazał i Polakowi przystoi, ażeby swój grosz wdowi składali na pomnik dla Mickiewicza i na bursę imienia Sapiehy, a następnie, głosem opinji zażądali, ażeby pieniądze zebrane na pomniki dla papieża i namiestnika zostały obrócone na ten sam cel, jedyny, który wiąże się z zadaniem narodowem.

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM PIERWSZY.

(*Ciąg dalszy.*)

VIII.

Nazajutrz przed południem, stosownie do przyrzecenia, Narcyz poszedł do hrabiego Gustawa.

— Miałeś do mnie ważny interes, hrabio — rzekł witając puszczającego kłąb dymu z kosztownej fajki demokratę.

— Tak baronie, prośbę i wielką.

— Jestem na twoje rozkazy, hrabio.

— A więc .. zapoznaj mie z Rzewnickim...

— Tylko tyle — uśmiechnął się Pogromski — jeżeli ci tak o to idzie, hrabio, mogłeś to zrobić jeszcze wczoraj... w saskim ogrodzie.

— Właśnie też że mi idzie nie o tylko tyle.

— O cóż więc jeszcze?

— Idzie o to, żebyś mnie z nim zapoznał, ale nie pod mojem nazwiskiem.

— A! a! jakaś intryga... tego zrobić nie mogę... jakby się dowiedział miałby urazę do mnie.

— Daję ci słowo, że to mały żarcik, awanturka... *histoire d'une amourette...* jak ci potem opowiem, będziesz się śmiał, a i on, ręczę, gniewać się nie będzie.

— Opowiedz że mi teraz hrabio.

— Nie... teraz nie mogę... *si je raconte je puis manquer mon coup...* lecz ci zaręczam, że to bagatela... *j'aime è baguenauder quelquefois...* zrobisz to dla mnie, baronie.

— Zrobię, hrabio, ale cię ostrzegam, że z nim trzeba ostrożnie w żartach... *ce n'est pas un homme à plaisanter...* jeżeli skutkiem tej mistyfikacji miałoby przyjść do czego, naprzykład do pojedynku, byłbym gotów sekundować mu przeciwko tobie. Wdzięczność, widzisz, hrabio, ma swoje obowiązki...

— *J'accepte la condition* i nie rozgrzeszam cię z wdzięczności, kochany baronie, chociaż zaręczam ci, że do rozlewu krwi nie przyjdzie.

— A więc jak się będziesz nazywał, hrabio?

— Przedewszystkiem zacznij się już odzwyczajać od wyrazu „hrabio“, którym mógłbyś mnie zdradzić... Co do mojego nazwiska mogę się nazywać jak zechcesz... *Donnez-vous la peine d'être mon parrain, cher baron.*

— Jeżeli tak, to zachowajmy imię to samo.

— Zgoda.

— A nazwisko weźmy od której z twoich wiosek.

— Wybornie!

— Nazywać się zatem będziesz Borowski od Borówki, albo...

— Po co szukać innego... Przystaję na Borowskiego...

— Dobrze. Ale jakiej będziesz kondycji?

— Jakto kondycji?

— No, przestajesz być hrabią, musisz jednak być czemś. Ludzie bez tytułu muszą być zawsze czemś, mieć jakieś zatrudnienie, kondycję... *nous autres nous n'en avons pas besoin...* czemże chcesz być?...

Gdyby ta trafna uwaga nasunęła się Narcyzowi wówczas kiedy się poznawał z Rzewnickim, całe *qui pro quo* nie byłoby miało miejsca. Lecz w obec Rzewnickiego Narcyz nie miał myśli swobodnej, a informacje otrzymane przez jego matkę, robiły Emila synem bogatego dziwaka, kapitalisty, co młodemu baronowi wystarczało najzupełniej.

— Będę artystą-malarzem — odpowiedział hrabia bez namysłu.

— Doskonała idea! — z francuska zawołał Narcyz — *avec votre barbe cela vous sied le mieux...* nie wyobrażam sobie nawet artysty bez brody.

— Rzecz zatem ułożona, kiedyż pójdziemy do niego?...

— Rewizytuję go jutro.

Gustaw poszukał w pamięci jaki dzień nazajutrz wypada. Dniem tym była niedziela.

— Dobrze — odpowiedział — mam przeczucie, że go zastaniemy... A teraz, mój baronie, bądź łaskaw mi powiedzieć, jak się ów Rzewnicki tłómaczył, że tak długo nie był u was?

Zagadnięty w ten sposób Narcyz opowiedział cały opór Rzewnickiego, a następnie jego przyjęcie w domu baronostwa, uzupełniając to wszystko domysłami jakie porobiła jego matka co do osoby Emila. Z tego opowiadania Gustaw mógł się po części dowiedzieć, a po części domyśleć obustronnej mistyfikacji, oraz tego, że jej przyczyna nie była ze strony Rzewnickiego chęć wkręcenia się do salonów, lecz błąd Pogromskich, a szczególniej Narcyza, który mu nie dał dokończyć wyznania, dla czego życie salonowe za niewłaściwe dla siebie uważa.

— Kawaler-kupczyk — mówił do siebie po odejściu Narcyza — o ile się zdaje, Bogu duszę winien... chciał nawet otwarcie powiedzieć, że zaszczytnej ale dalekiej koligacji z baronostwem wyrzec się musi dla daleko bliższego pokrewieństwa z angielskiem zielem i cykorją... Narcyz nie dał mu przyjść do głosu, zaręczając, że wie wszystko. Otóż słowo zagadki. Rzewnicki daje się ciągnąć do „pałacu“ w najlepszej wierze, a kiedy mu się takie rzeczy mogą pomieścić w głowie, to mu się i to wszystko pomieści, co ja w nią włożyć będę potrzebował. Dobroduszny jakiś człowiek i nic więcej. Wszystko to nie obala mojego dawniejszego przypuszczenia, że ośmielony kuzynostwem już się w pięknej Nini zakochał, albo zakocha za jeszcze jedną wizytą. Stanowisko Natalki w jego sercu zachwiane, korzystajmy z tej sposobności, żeby jaki fatalny przypadek nie wydał wszystkiego zbyt prędko.

Mieszkanie Rzewnickiego jakkolwiek bardzo skromne, nie raziło pustką i biedą, a przedewszystkiem nie uderzało owym tak pospolitym w mieszkaniach kawalerskich nieporządkiem. Będąc jak Narcyz, uprzedzonym z góry, że Emil różnił się od innej zamożnej i dobrze urodzonej młodzieży, skutkiem wychowania jakie odebrał; można było wziąć jego siedzibę za siedlisko człowieka, który więcej z inakszego na świat poglądu, jak z potrzeby gardził miękkim sybarytyzmem i rozpieszczonym komfortem. W każdym razie wziąć jej nie było można za mieszkanie jakiego aplikanta, dyetarjusza lub kancelisty na najniższym etacie, który korepetycjami uzupełniać musi szczupłość swej płacy, albo jej brak zastępować. Rzewnicki mieszkał daleko porządniej, więc należało mu się domyślać kogoś pieniężniejszego od tego proletarjatu, co się tłoczy u stóp biurokratycznej drabiny. Narcyz nie mógł się nawet domyślać, nie znając stosunków sfery, do której Emil należał, że najgorzej płatny subjekt handlowy lepiej jest zazwyczaj uposażonym, od nowicjuszów urzędniczego świata, nie mógł więc swych domysłów skierować w tę stronę i naturalnie pokierował je wyżej. Tym sposobem mieszkanie razić go nie mogło, lecz owszem upewniało go o prawdziwości informacji matczynych.

Gustaw doświadczeńszy i więcej znający świat, a nadto dokładniej obznajmiony z położeniem osobistem Rzewnickiego, obawiał się żeby sam widok mieszkania Emila nie naprowadził młodego barona na domysł kim jest jego kuzyn i przygotował się już naprzód do odwracania jego uwagi od szczegółów, któreby mogły być zbyt niedyskretne. Zdziwił się nie pomału, że Narcyz wchodząc nie skrzywił się wcale, tak jakby wiedział o wszystkiem i niczego więcej się nie spodziewał po mieszkaniu swo ego kuzyna, kontent był jednak bardzo z tej okoliczności, która równie jak wszystkie dotąd była mu na rękę.

Emil słysząc ich nadchodzących o oznaczonej godzinie, sam wyszedł naprzeciw nim, czem wybornie choć bez intencji zamaskował brak służącego.

Wszystko składało się jak najlepiej.

Narcyz zapoznał go z Gustawem i tym sposobem jeszcze bardziej unaturalnił przypuszczenie, że mu o poufałą i bliską znajomość swego wybawcy, nawet wówczas, gdyby wie-

dział o jego stanowisku społecznem, rzeczywiście chodzić mogło. Widząc swego tytułowanego kuzyna w towarzystwie artysty, a więc człowieka, który pracą zdobywał sobie chleb i pozycję, Rzewnicki nie mógł nie pomyśleć:

— Prawdziwie jacyś inaksi ludzie, ci baronowstwo... widocznie nie z samymi magnatami żyją.

Gustaw zupełnie poufały z baronem, odrazu wszedł i z Emilem na stopę pewnej przyjacielskiej zażyłości, chcąc umyślnie służyć za pośrednika między nim a Narcyzem i zapełniać sobą tę odległość socjalną, jaka ich od siebie dzieliła. Wyćwiczony w komedji życia, rolę swoją odgrywał doskonale.

Pół-przyjacielska, pół-salonowa pogadanka o niczem, której opisanie powiększyłoby tylko bez potrzeby i tak już długie wstępne karty naszej powieści, wybornie posługiwała do utrzymania w krainie pozoru całej tej trójki ludzi łudzących się wzajem bądź niewinnie, bądź rozmyślnie.

Rzewnicki przygotował się na przyjęcie swojego gościa, równie serdeczne i bezceremonjalne jak to, którego doznał w domu baronowstwa: znalazła się więc wkrótce na stole dość obfita i godna baronowskiego podniebienia przekąska i zapleśniała butelka węgrzyna. Rzeczy te mniej kosztowały naszego bohatera dla tego, iż był tem czego się Narcyz nie domyślał i dawały młodemu baronowi bardzo przesadzone o jego zamożności pojęcie.

Wino było wyborne i porozwiązywało języki. Narcyz kontent z swego wybawcy, zapraszał go do siebie ponownie, Gustaw powiedział po prostu że go polubił i częściej z nim przestawać musi.

Wizyta trwała przeszło godzinę, wbrew wszelkim przyjętym zwyczajom. Dłużej jednak nie można było jej przyciągać, bo Narcyza do domu jeszcze przywoływały obowiązki.

— Nie wychodzisz pan z nami, panie Emilu? — rzekł na wychodnem Gustaw.

— Nie, panie Gustawie, wyjdę dopiero nad wieczorem.

— O której?...

— O szóstej...

— O! to późno...

Tą nic nieznaczącą uwagą mniemany artysta zamaskował cel swego zapytania i wyszedł razem z Narcyzem, widać jednak, że wiadomość kiedy Emil wyjdzie z domu była mu potrzebną, bo gdy przyszła szósta godzina i Rzewnicki wyszedł z zamiarem pójścia do pani Balskiej, zaraz na zakręcie ulicy spotkał poznanego niedawno pseudo-kapłana owej sztuki, której przez dziwne zapomnienie starożytnych, żadna z dziewięciu cór Mnemozyny nie jest osobliwą patronką.

— A! panie Emilu — witał go wyciągając doń obie ręce spotkany — jakże się cieszę, żem pana spotkał... medytowałem co zrobić z tym wieczorem i właśnie myśl najlepsza...

— Żałuję że mi niepodobna panu służyć...— zaczął Rzewnicki.

— Jakto? rozporządziłeś pan już swoim czasem?

— W istocie, panie Gustawie.

— A więc nie będę natrętnym... chociaż byłbym panu serdecznie wdzięcznym, gdybyś mi godzinkę darował i gdybyśmy przynajmniej przeszli się razem, jeżeli się panu nie spieszy.

— Z miłą chęcią — pospiesznie choć z niewielkiem zadowoleniem zgodził się Emil.

Ukryty pod pseudonimem hrabia wziął go pod rękę i nie umawiając się, w którą stronę iść będą, poszli razem w tym kierunku, w którym szedł Emil, to jest ku mieszkaniu pani Balskiej.

W drodze Gustaw bawił swego towarzysza wesołą pogadanką, częstokroć przeplataną uwagami mającemi związek z mniemanem jego powołaniem.

Im bardziej się zbliżali do domu, w którym mieszkała pani Balska, tem pogadanka Gustawa artystyczniejszą się stawała.

Pierwsza jej część służyła hrabiemu do wyegzaminowania Emila, czy nie posiada przypadkiem specjalnego wykształcenia i znawstwa w sztuce, której mniemany artysta użył sobie za kostium maskaradowy. Egzamin ten nie był trudny. Gustaw prędko się dowiedział, że Rzewnicki miał tylko ogólne wiadomości o malarstwie, wspólne wszystkim średnio ukształconym ludziom, nie miał zaś ani zamiłowania, ani sposobności do robienia nad niem bliższych studjów.

Dowiedziawszy się o tem, upewnił się, że może improwizować bez obawy. Przywłaszczył więc sobie bez ceremonji pomysł rzucony przy śniadaniu przez jednego z bardzo pomysłowych, ale nie wytrwałych w wykonaniu malarzy i zaczął go rozwijać jako swój własny, z tak dobrze odegranym zapałem, że Emil nie śmiał mu przerywać, chociaż już doszli do mieszkania pani Balskiej i poszedł dalej za opowiadaczem.

Gdy byli o kilkadziesiąt kroków od drzwi, do których serce bardzo usilnie naszego bohatera ciągnęło, hrabia zakończył owe opowiadanie:

— Niestety — rzekł — ten piękny pomysł, naszkicowany ledwie, musiałem porzucić jak wiele innych.

— Źle, że pan nie masz wytrwania — zaczął Emil.

— O! panie — tym razem nie tylko wytrwania mi brakło... Wystaw pan sobie... ale to długa historja... pan się spieszysz?

— Przeciwnie, panie Gustawie, gotów jestem słuchuć — odpowiedział Rzewnicki niekoniecznie szczerze.

— Zresztą będę się starał streścić. Artystom natura dała osobny zmysł, zupełnie inny rodzaj oka do zapatrywania się na świat. Czasem ujrzenie jednej twarzy daje malarzowi myśl do obrazu. Tak było i z tym obrazem— natchnął mi go widok jednej ślicznej, młodej panienki...

— W której się pan zakochałeś naturalnie...

— Otóż właśnie że nie, inaczej musiałbym mieć tyle miłości i tyle serc, ile mniej więcej miałem pomysłów do obrazów. Nie kochając się i nie chcąc, żeby mnie pomawiano o to, nie mogłem zbyt usilnie starać się o zaznajomienie, a bez tego nie mogłem mieć sposobności wystudjować dokładnie te piękne rysy, których widok mnie natchnął. Widzisz więc pan, że nasze najlepsze artystyczne chęci nieraz padają ofiarą form i stosunków towarzyskich.

— Może jednak poznasz pan jeszcze kiedy swój model.

— Nie przypuszczam, choć gdybym ją spotkał powróciłbym do powziętej myśli, jako do jednej z tych, w których sobie najbardziej upodobałem.

— Nic więc nie ma niepodobnego, okoliczności panu dopomogą.

— Przestałem w to wierzyć, bo już oddawna czekam na to napróżno. Moja nieznajoma musi mieć bardzo, bardzo mało znajomości, a na ulicy prawie nigdy spotkać jej nie można.

— Może była w przelocie w Warszawie?

— Owszem, tutejsza, córka wdowy po urzędniku... możeś pan nawet słyszał o niej— panna Balska...

— Natalja?... — zawołał Rzewnicki.

— Imienia nie dowiedziałem się — ale... miałżeby mi przypadek nastręczyć to, czego szukałem od tak dawna?...

— Blondynka... twarz smętna... dziwnie ujmujące spojrzenie...

— Taż sama!... sam pan przyznaj... jak stworzona do mojego obrazu... znasz ją pan?...— z doskonale odegranem z dziwieniem dopytywał się pseudo-artysta.

— Bywam dość często w domu pani Balskiej, i właśnie teraz tam szedłem.

Hrabia aż klasnął w ręce.

— A! co za traf? — zawołał — mój obraz...

Tu nagle zmienił ton i poważnie a poufale zagadnął Rzewnickiego:

— Panie Emilu!... szczerość za szczerość i pytanie za pytanie: pan się w niej kochasz?

Rzewnicki milczał przez chwilę. Zapytanie nie było mu na rękę. Zbyt mało znał swego nowego znajomego, żeby uważał za stosowne zwierzać się przed nim, a wypierać się miłości Natalji nawet przed człowiekiem, który badać go o tę miłość nie miał prawa, uważałby za świętokradztwo.

Gustaw inaczej sobie wytłumaczył to milczenie.

— Zgadłem — pomyślał — kupczykowi zapachniała baronówna i radby się wycofać z dawnych amorów, a wstyd mu przyznać się do tego... Poczekaj paniczyku, dopomogę ci w tem przynajmniej.

Emil odezwał się po chwili:

— Panie Gustawie... dla czego mnie o to pytasz?...

— Dla bardzo prostej przyczyny, kochany panie Emilu. Jeżeliś zakochany, to nie zechcesz mnie tam wprowadzić i ja nawet żądać tego nie będę, gdyż wiem, że kochankowie są zazdrośni... wolę zrzec się swego pomysłu, niż naleganiem na to narazić się panu...

— Pozwól mi pan, że nie odpowiem na pytanie co do stanu mojego serca — odpowiedział na to Emil — choćby jednak tak było jak pan mówisz, nie mógłbym odmówić twej prośbie... jeżeli obraz, który wykonać zamierzasz, nie jest przeznaczony na jaką wystawę publiczną.

— Zamówił go do siebie hrabia Orońskí, kuzyn baronowstwa Pogromskich, właściciel przepysznej galerji.

— W takim razie... zgoda... dziś się zapytam o upoważnienie wprowadzenia pana do domu pani Balskiej... Jest to tylko formalność... ale...

Hrabia się skrzywił.

— Dziękuję ci za dobre chęci, panie

*

Emilu, ale korzystać z nich nie mogę... — rzekł przerywając Rzewnickiemu.

— Dla czego? — spytał Emil zdziwiony.

— Mam być szczerym?...

— Proszę o to.

— A więc... ta prosta, jak pan słusznie mówisz, formalność... zraża mnie... to widać dom ceremonajlny...

—Ależ upewniam pana, że tak nie jest...

— Tak być musi, choć w części, jeśli bez przedwstępnego upoważnienia obejść się nie może.

—Zresztą... gdyby nawet tak było... cóż to panu przeszkadza?

— Jako człowiekowi nic prawie, jako artyście bardzo wiele. Wytłumaczę się panu najprzód jako nie-artysta. Wprowadzenie ceremonjalne do domu, w którym jest panna na wydaniu, człowieka mogącego się żenić, w naszym kraju, w naszej kochanej Warszawie, daje powód do wniosków i domysłów, których chciałbym uniknąć...

— Ach! o to bądź pan najspokojniejszym. Umiesz się przecież postawić odpowiednio, w szeregu znajomych, nie konkurentów.

—Dajmy na to, ale też to jest mniejsza. Teraz mówię jako artysta. Czy wiesz pan dla czego większa część portretow, jakie robimy, nie udaje się? Oto dla tego, że osoby mające nam pozować wiedzą o tem, że będą pozowały i pozują nienaturalnie. Coś podobnego jest z przyjmowaniem uroczyście zapowiedzianych gości. Choćby byli najobojętniejsi, kładzie się na ich przyjęcie inny strój i inną maskę. Przypomnij pan sobie, po co i dlaczego chcę się zapoznać z panną Balską, a domyślisz się *que ce serait la peine perdu*, gdybym ją wymuszoną zobaczył.

Tu Gustaw ugryzł się w język. Mimowolnie wtrącił wyrażenie francuskie, a takich wyrażeń między innemi zamierzał wystrzegać się, żeby nie wyglądały na popis i nie raziły nieprzywykłych do makaronizmów salonowych uszu ludzi ze sfery, w którą wchodził *incognito*, obawiał się żeby tego rodzaju pomyłek nie przytrafiało mu się więcej, i dla tego wyrzucał sobie nawet małe potknięcie się języka.

Dowodziło to, z jaką dyplomacją i pamiętaniem o wszystkich szczególach odgrywał przybraną rolę.

Emila byna mniej nie uderzyła francuszczyzna — znał ten język dobrze. Korespondował w nim, wprawdzie tylko w zakresie handlowym i musiał mówić dosyć biegle. Uwaga Gustawa trafiła do jego przekonania.

— Masz słuszność — rzekł po chwili — lepiej byłoby obejść się bez formalności.

— Możesz pan to uczynić?

— Mogę.

— Ale czy pan chcesz?... tylko proszę mówić szczerze i otwarcie...

— Chcę... pójdziemy... choćby zaraz.

— A więc zaraz... W którąż stronę?...

— Musimy wrócić...

— Ach! przepraszam pana najmocniej, żem zaprowadził za daleko. Prawdziwie żałuję że mnie pan nie ostrzegłeś, że cel pańskiej drogi mijamy.

—Panie Gustawie... teraz wypada, żebym ja panu odpowiedział, że mi było bardzo przyjemnie iść z panem i tak komplementować się będziemy wzajemnie. Czyby nie lepiej było i tę formalność usunąć?

— Ach! z miłą chęcią... dziękują ci, żeś to pierwej zaproponował panie Emilu.

I hrabia z siłą prawdziwej przyjaźni uścisnął pracowitą dłoń kupczyka, który nie domyślając sią niczego, prowadził go do swej kochanki.

IX.

Gustaw słusznie liczył nie mało na efekt swego niesłodziewanego wprowadzenia, choć kłamał powody, jakie go do tego skłaniały.

Natalja poznała od razu swego nieznajomego z botanicznego ogrodu i przywitała go żywym rumieńcem.

W rumieńcu tym było szczęścia tak wiele, że hrabia nie mógł go nie dojrzeć. Owszem zarozumiały podbojami swojemi, widział go może jeszcze więcej niż było.

Dla Natalji wątpliwości być nie mogło. Przyjście Gustawa było jakby wyznaniem. Ujrzał ją na ulicy, szedł za nią, wystarał się o wprowadzenie. W sferze, do której należała Natalja, zaznajomienia zakochanych bardzo rzadko odbywają się inaczej.

Można było dać szyję, — Gustaw się zakochał.

W sercu Natalji działo się coś takiego zupełnie, jak w owej chwili, kiedy elegancki Jasio wprowadził Emila do domu jej matki. Tylko, że tutaj zamiast myśli: „On jest kupczykiem“ nasuwała się myśl inna, daleko milej do jej wyobraźni przemawiająca:

— On jest artystą, a artysta jest także poetą!...

Gdyby po tak jawnem świadectwie, jakiem było samo ukazanie się w domu pani Balskiej Gustawa, Natalja mogła mieć jeszcze jakąś wątpliwość co do stanu jego serca, obejście Gustawa usunęłoby ją niebawem.

Patrzył na nią jak w obraz, mówił jak do wieszczki. W wymowie jego było tyle poezji, tyle dźwięczności, tyle ognia, tyle serca, choć żadnych wyraźnych zwierzeń, ani aluzji do głębszych uczuć nie było.

Rzewnicki ani nie miał za złe wprowadzonemu przez siebie gościowi nadzwyczajnego zajęcia się Natalją, ani mógł nawet bliżej nad rodzajem tego zajęcia się zastanowić. Biedny zakochany subjekt i korespondent handlowy w oczach Gustawa wciąż wlepionych w Natalję, widział tylko namiętność artystyczną, podziw kapłana sztuki nad wcieleniem piękna i dumnym był, że tę admirację głęboką jego wybranka wzbudziła. Przytem Natalja, wdzięczna za przyprowadzenie jej gościa, o którym jej słabowita wyobraźnia oddawna marzyła, kilkakrotnie uprzejmem słowem obdarzała i nagradzała Emila, co go upajało do reszty.

— Lubi artystów... świat poezji i natchnień, — mówił do siebie — dlatego taka grzeczna dla niego i tak uprzejmie z nim rozmawia... ale to nic... śmiesznym byłbym, gdybym się bał... w tem nie ma cienia innego zajęcia... bo gdyby było inaczej, czyliżby była dla mnie grzeczniejszą i uprzejmiejszą jak zwykle?... Nie! ja ją kocham, a miłość moja ma oczy ostrowidza... widzę jej serce... ono będzie mojem...

W jednym, niestety nieskończonym, dramacie Słowackiego, znajduje się przepyszny pomysł. Ojciec odzywa się do córki:

Dziewczyno moja, kochasz się oczyma:
Zmuszony będę ci odebrać oczy,
Aby szalone serca nie uwiodły...

A córka przelękniona groźbą odpowiada:

Pozwól mi patrzeć ojcze, ja przyrzekam,
Że nie obaczą ludzie mego wzroku,
Ty sam nie będziesz widział, ża ja patrzę.

Miłość jest antytezą tak przemawiającej Syberyny. Wmawia we wszystkich, nawet w samą siebie, że ma oczy, że widzi to czego pragnie, co namiętnem uczuciem odgaduje, do czego dążyć by rada na skrzydłach każdego tchnienia.

Wejście do domu było już ważnym krokiem do celu, jaki sobie Gustaw zamierzył, ale bytność kilkogodzinna posunęla go na niej dalej, niż się spodziewać poważył.

Natalja była nim zajętą i nie robiła żadnych wysileń, żeby to utaić przed nim, a na wychodnem i ona i matka prosiły go o ponowne, częste odwiedziny, jak najpoufalszego i najdawniej znajomego przyjaciela.

W rozmowie dostrzegł, że sztuka malarska, tylko jako jedna z siostrzyc poezji słowa interesowała Natalją, nie bardzo zresztą obznajmioną z dziejami i teorją Apellesowego kunsztu. Poznał natychmiast, że w jej pojęciu tem więcej zyska, im mniej będzie malarzem, a więcej poetą... i w tym duchu prowadził rozmowę, ażeby takim się przedstawić, a nawet na pytanie Natalji, czy nie pisuje czasem wierszy, odpowiedział skromnie:

— Próbowałem i szło mi jako tako... Wszystkie sztuki są krewne i kto ukochał jedną, ukochał wszystkie. Zresztą... malarstwo nie dość wypełnia sobą życie... Potrzebuje koniecznie światła, a w życiu bywają dni posępne, z obleczonem chmurami słońcem, bywają długie samotne wieczory i uroczyste noce gwiazdowe, które tylko poezja słowa ożywić i ubarwić jest zdolną.

Frazes ten, dosyć pospolity sam przez się, wydał się pannie Balskiej taką perłą natchnienia, że gdy wieczorem pozostawszy sama, spisywała rymami rejestrzyk swych wrażeń, koniecznie w sonet ująć go pragnęła.

Nad papierem nie szło jej to dziś łatwo. Nie małą trudność stanowiły poczwórne rymy do dwóch pierwszych zwrotek.

Skończyło się więc na początku:

O ty malarska sztuko! przyjaciółko słońca!...
Gdy cienie nocy gęsto na ten świat upadną,
Barwa twoja się oku zdaje niedokładną,
Z żywej staje się wątła, z płomiennej blaknąca!...

Dalej ani rusz!... Aforyzm hrabiego Gustawa uparł się niby kozieł i nie chciał wleść w formę sonetu.

Miałożby to być wróżbą, że rodząca się miłość Natalji dla Gustawa w dalszym przebiegu spotka takie jak jej pióro przeszkody?...

Bohaterka nasza rzucając pióro nie marzyła o tem. Zapomniała nawet niedługo o zdaniu, które nie chciało być sonetem. Treścią jej myśli były trzy wyrazy:

— On jest poetą!...

Spała wybornie i miała sny słodkie... Sen jest krainą marzeń, a najmilej w niej tym, którzy w nią wchodzą z przekoneniami i złudzeniami wyniesionemi z krainy pozorów, z której piękna Natalja wyniosła przeświadczenie o natchnionym charakterze Gustawa.

Tymczasem hrabia wyszedłszy razem

z Rzewnickim odprowadził go aż do domu, nie szczędząc wynurzeń wdzięczności.

— Teraz... dzięki panu, dzięki tobie, kochany panie Emilu, utworzę arcydzieło, — mówił ściskając po kolei to prawą to lewą rękę Rzewnickiego.

— Kiedyż się pan do niego zabierzesz? — zapytał Emil.

— Po kilku jeszcze studjach, po kilku wizytach.

— A długo będziesz pracował?...

— Nie powiem, w każdym razie najmniej kilka miesięcy.

— I w ciągu pracy pokażesz mi pan swą robotę?...

— Panu nic odmówić nie mogę... chociaż... może to przesąd, ale dotychczas fakta mówią jedynie na jego poparcie... nigdy jeszcze nie skończyłem obrazu, którym w ciągu roboty pokazywał komukolwiek.

— To nie przesąd, panie Gustawie, ale kaprys talentu... a talentom wolno jest mieć kaprysy — odpowiedział Rzewnicki — dlatego bądź pewnym, panie Gustawie, że choćbyś chciał mi pokazywać twój obraz, nie pójdę do twej pracowni dopóki go nie wykończysz...

— Ale cóż znowu, panie Emilu... — nastawał niby hrabia.

— Tak... nie chcę mieć na sumieniu zniweczenia arcydzieła.

— No... tylkoż mnie nie prześladuj tem arcydziełem... pojmujesz, że żartem tak nazywam moje bazgraniny, w których więcej dobrych chęci niż wartości .. Przyjdziesz pan do mnie... winieneś mi wizytę.

— Oddam dług po skończeniu obrazu.

— Ha! cóż robić kiedyś uparty, kochany panie Emilu, — zgodził się wreszcie Gustaw, któremu upór Rzewnickiego był bardzo na rękę, uwalniał go bowiem od proszenia którego ze znajomych artystów, żeby mu na przyjęcie Emila odstąpił swego mieszkania i pracowni, jak to już miał zamiar uczynić.

— Powiedz mi pan, panie Gustawie, — zaczął zwracając rozmowę na inny przedmiot Rzewnicki, — czy wy wszyscy malarze potrzebujecie ujrzenia jakiej twarzy, któraby wam za model służyła do waszych pomysłów?... Mnie się zdaje, że możnaby ją stworzyć...

Hrabia ugryzł się w język.

— Do djabła — pomyślał, — chyba coś przewąchuje, kiedy mu się to niezbyt naturalnem zdaje... potrzeba działać szybko.

Nie tracąc jednak kontenansu, odpowiedział:

— Nie... jest to także, jak pan powiadasz kaprys mojego talentu, że się obejść nie mogę bez tej zewnętrznej podniety. Widać mam więcej oka niż twórczości.

Na tem rozstali się z sobą.

Gustaw najniesłuszniej pomawiał Emila że się czegoś domyśla. Wiemy już, że się nie domyślał niczego i powróciwszy do domu budował na wspanialsze zamki nadziei na łaskawszem niż zwykle przyjęciu, jakiego doznał od Natalji. Rozumiał dobrze, że tym jego gmachom brakowało podstawy praktycznej, bez której na ich trwałość liczyć nie było można, to mu jednak nie przeszkadzało lubować się ich pięknością i usnąć w rozkosznych marzeniach.

Hrabia powracając do siebie budował także zamki, mniej może uderzające szlachetnością i estetyką architektonicznych zarysów, ale oparte na fundamentach pieniężnych, w których trwałość wierzył najmocniej.

—No... napracowałem się dzisiaj... — mówił do siebie, — ale nie darmo... smaczny kąsek wart zachodu, a dobrzem przeczuł, że bez rozkochania panienki naprzód, niepodobna robić jej propozycji, bo młoda gąska świata nie zna i przestraszyłaby się okropnie. Jak się tylko rozkocha porządnie, a do tego niedaleko, to jej powiem... wiem już co powiem... i zgodzi się na wszystko. Miłość przezwycięży skrupuły... Mogę o tem sądzić po sobie... gdybym był tak naiwny żebym się rozkochał toby zwyciężyła i moje... gotówbym wówczas zrobić głupstwo zwane technicznie mezaliansem... Kiedy zatem nie ja się rozkochałem, ale ona jest na tej drodze, to niech ona robi rzecz, którejby także warto dać jaką nazwę techniczną... naprzykład... *une bonne aliance.* W istocie... nie zła nazwa... jak przejdzie szkołę życia, to sama *bonaljansem* to nazwie.

Nazajutrz, jeszcze południowa godzina nie wybiła, hrabia udający się za artystę, jak pierwszy lepszy zapaleniec debiutujący w roli kochanka, usiłując przybrać minę nieśmiałą, z czem mu bardzo niezgrabnie. wchodził do skromnego mieszkania pani Balskiej.

Nie potrzebujemy dodawać, że tym razem obszedł się zupełnie bez towarzystwa Emila i że wybrał umyślnie taką godzinę, w której wiedział, że go nie zastanie.

Serce poetki puknęło bardzo żywo. Z tych tak szybko ponowionych odwiedzin, wnosić mogła i miała prawo, że... albo pan Gustaw zapomniał parasola, albo też na codziennego instaluje się gościa.

Rzecz dziwna, przy pierwszem przypuszczeniu nie zatrzymała się ani na chwilę, a nawet przez myśl jej to nie przebiegło.

Pozostawało tylko drugie, a gdyby nawet co do niego miała jaką wątpliwość, wkrótceby ją Gustaw usunął.

Zaczął rozmowę niby od przeproszeń, że się tak często narzucał... Panna Balska nie broniła mu mówić o tem, ale tak zwracała rozmowę, że o tem mowił bardzo krótko. Potem, zostawszy na chwilę sam na sam z poetką, pokazał jej wiersze, niby swoje i niby wczoraj wieczorem po przyjściu do domu, a więc pod wpływem jej poznania napisane.

Natalja czytała. Rymy były wspaniałe, średniówka wszędzie na swojem miejscu, zgłosek nigdzie za obficie, ani za mało, a myśli... jakie cudowne myśli!...

Był w nich jakby cień jakiś niedalekich oświadczyn... niepokój serca gorącego, które pod wpływem doznanego, a bliżej nieokreślonego wrażenia nie wiedziało co się z niem dzieje...

Rumieniec mimowolny wybiegł na twarz Natalji, kiedy czytała tę pseudo improwizację, której była jak się zdawało, więcej niż autorką, bo natchnieniem.

— A! panie!... — rzekła — jaka szkoda, żeś się pan głównie poezji nie poświęcił...

— Uczyniłbym to pani... gdyby...

— Gdyby?...

— Gdybym był pewnym, że u wszystkich czytelniczek znajdę sąd tak przychylny i pobłażliwy jak u pani...

Hrabia Gustaw był takim samym poetą jak artystą, tak dobrze jednak przejął się swą rolą, że odpowiedział tą samą delikatną impertynencją, jakiej sobie częstokroć pozwalają zarozumiali literaci czy poeci (u nas te dwa wyrazy pospolicie uchodzą za synonimy) w obec swoich herbatkowych wielbicieli.

— A! nie ceń znów pan tak mało mojego znawstwa — odpowiedziała Natalja — mam niejakie prawo do sądu... sama piszę...

Nie wiemy, coby na takie odparcie swego odezwania się odpowiedział jaki prawdziwy literat, zwłaszcza, gdyby nie było dodanem do tego owo „sama piszę...“ wielce ułatwiające odpowiedź, dosyć że Gustawowi, choć tylko grał komedję, nie zabrakło odpowiedzi, jakkolwiek banalnej.

— Przeciwnie, pani, szczycę się tym sądem... będzie on dla mnie zachętą... najdroższy niezawodnie ze wszystkich, jakie jako dyletant poeta spotkałem...

— Oh!... najdroższy... jak pan lubi komplementa!...

— Przeciwnie pani, żyję tylko prawdą... i niedługo udowodnię to pani.

To „niedługo udowodnię to pani,“ dało Natalji tyle do myślenia, że nie mogła nic odpowiedzieć.

— Lecz kiedy pani sama pisze, — mówił Gustaw dalej — czy mnie pani nie sądzi niegodnym ujrzenia jakiego utworu?...

Mówiąc te słowa jako artysta i poeta, mówiący myślał jako hrabia:

— *Y trouverai-je assez de larmes et de soupirs dans ces chansons d'une tourterelle!*

Panna Balska spuściła oczy skromnie i odrzekła:

— Raczej utwory będą niegodne pana, który mógłbyś być moim mistrzem.

— Ale „będą,“ powiadasz pani — pochwycił Gustaw — więc je zobaczę?...

— Jeżeli pan nie będziesz zbyt wymagającym.

— Owszem będę wymagającym i nie ustąpię aż je pani pokaże.

Natalja pobiegła do szuflady w komodzie, która obok różnych ubrań na głowę, kwiatów do stroju, woalek i tiulików, mankietek i kołnierzyków, mieściła koronki jej ducha i odrzuciwszy na bok kilka zeszytów, podała Gustawowi najświeższy.

Hrabia otworzył je na los i trafił na utwory wczorajsze.

Czytał. Rymy były dość zwykłe, średniówka dosyć kapryśnie traktowana, zgłosek tutaj za wiele, tam znowu za mało, a myśli?... myśli czasem całkiem niepojęte!...

Nie zrażało go to bynajmniej. Jakkolwiek występował w roli poety, nie miał nikomu za kryminał, braku uszanowania dla średniówki...

— Wzniośle!... cudowne!... — przerywał sobie niekieey, deklamując patetyczniejsze ustępy.

Natalja rosła

Najsłabszą jej stroną była miłość własna autorska A! gdyby się pan hrabia cobądź skrytykować poważył, kto wie, czyby mu pozwolono doczytać do ostatnich wierszy.

A w tych ostatnich wierszach była taka drogocenna perła dla niego.

Część zapisana zeszytu kończyła się początkowym czterowierszem sonetu:

O! ty malarska sztuko, przyjaciółko słońca,
Gdy cienie nocy gęste...

Gustaw poznał swój aforyzm wystrojony w rymy. Spotkanie tej znajomości znaczyło wiele... Natalja prawie wyraźnie odpowiadała wyznaniem na jego wyznanie. Wiersz jej po wierszu jego znaczył tyle, coby znaczyły słowa:

— Myślałeś o mnie... myślałam o tobie.

Hrabia przedeklamował kilkakrotnie czterowiersz, jakby się go uczył na pamięć.

— Ah! i pani nie kończysz tego utworu? — zapytał po chwili.

— Skończę go... o! skończę go z pewnością, panie Gustawie.

— Dziękuję pani — z wybornie odegranym zapałem odpowiedział pseudo-artysta i ująwszy jej drobną rączkę, podniósł ją do ust po raz pierwszy i zaczął okrywać pocałunkami.

Pocałował raz.. drugi... trzeci...

Natalja nie cofała rączki...

Poetom więcej jest wolno jak zwyczajnym śmiertelnikom, nawet kiedy przychodzą dopiero z drugą wizytą...

W tej chwili otworzyły się drzwi i ukazał się elegancki Jasio, mówiąc słodkim głosikiem:

— Dobry dzionek, szanownym państwu... znalazłszy minuteczkę czasu, postanowiłem na chwilkę złożyć wizytkę...

— *Sapristi!* — pomyślał hrabia, puszczając nagle rękę Natalji. (C d. n.)

LEONARD CHODŹKO
I JEGO PRACE
KRÓTKI RYS BIOGRAFICZNY I NAUKOWY.

Skreślony przez
ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

III.

Okoliczności same wytknęły pole pracy dla Chodźki i nadały im kierunek. W Wilnie jeszcze był on członkiem towarzystwa bibljograficznego wileńskiego dla przedruku dzieł polskich. Za granicą zajął się drukami, jakby pod naciskiem moralnego zobowiązania się zrobionego na ławach szkolnych. Wydanie pamiętników Ogińskiego wprowadziło go w styczność ze światem francuskim; nieopracowane notaty i opowiadania Ogińskiego, natchnęły go zamiarem wydania historji legionów; a ztąd znowu wciągnięcie się do świata encyklopedji i geografów paryskich. Dla Francji Chodźko staje się cennym nabytkiem, jako w owe czasy jedyny tam badacz spraw naszych; to też wybrano go członkiem towarzystwa geograficznego francuskiego w Paryżu, a później członkiem towarzystwa statystyki powszechnej.

Wszystko to jednak zmusza go do zajęcia się jakby zbieraniem kwiatów po naszej niwie narodowej i układania ich w ozdobne bukiety dla Zachodu. Dzieła Chodźki dla Francuzów są tym magazynem, gdzie może każdy znaleść wszystko co tylko zechce, choć niewyczerpująco do gruntu lecz dość wiernie oddane. Sądzę, że sam autor tych licznych dzieł nie inaczej się zapatruje na znaczną ich większość. To też w miarę wzrostu ympatji ku nam, lub w miarę większego zajęcia się Polską lub wschodem Europy, co raz więcej musiało się zjawiać nowych prac Chodźki i jego imię ozdabiać pewną powagą naukową. W pracach jego musiała uderzać obfitość faktów i ich dokładność i autor już nie miał czasu i siłami własnemi nie podołał do całkowitego i należytego ich zestawienia.

Ażeby nie przerywać później niektórych obrazów z życia Chodźki, od razu nie trzymając się następności chronologicznej, przedstawię tu całą jego działalność literacką i naukową do dziś dnia. Wydał on:

Histoire des légions polonaises en Italie sous le commandement du général Dombrowski (Paryż 2 tomy z portretem i mappami) Historja legjonów polskich we Włoszech pod dowództwem jenerała Dombrowskiego. *Les Polonais en Italie*, Polacy we Włoszech (Paryż 1829 z mapą); *Esquisse etnologique de l'histoire de la litterature polonaise*, Szkic chronologiczny piśmiennictwa polskiego (Paryż 1829 r.) ogłoszony przez Odrjana *Jarry de Maney* w jego *Altas des littératures*.

Tableau de la Pologne ancienne et moderne, sous les rapports géographique, statistique, géologique, politique moral, historique legislalif et litteraire ogłoszone z razu w 1807 w jednym tomie Molte-Brun'a; nowe wydanie całkiem przerobione, powiększone, i doprowadzone do 1830 przy współpracownictwie Lelewela, Morawskiego Teodora i Podczaszyńskiego Michała, (Paryż 1830, dwa tomy). Dzieło to było zaraz nieprawnie wydane w Belgji jako falsyfikat, i doczekało się tłumaczenia na angielski, niemiecki i włoski języki przez *Guerazzi*. *Coup d'oeil historique et militaire sur la guerre actuelle entre la Russie et la Pologne*, Rzut oka historyczny i wojenny na wojnę bieżącą między Moskwą i Polską. (Paryż 1831). *Histoire politique de la Lithuanie depuis sa réunion à la Pologne en 1386 jusqu'a son insurrection en 1831*, historja polityczna Litwy od jej połączenia się z Polską w 1386 do powstania 1831 r. (Paryż 1831); *Tableau historique et chronologique des revolutions nationales de la Pologne de 1784 à 1831*. Obraz historyczny i chronologiczny powstań narodowych w Polsce od 1784 do 1831 roku (Paryż 1832) było wydanie nieprawne w Genewie a nadto przetłumaczone na angielski.

Wiadomo, jak rzadkie były mapy Polski. Ich do dziś dnia dobrych w handlu księgarskim nie mamy. W trzydziestu latach nie miano ich nawet takich jak dziś. Chodźko zajął się ogłoszeniem. *Carte géographique, statistique et routière de la Pologne dans ses frontières de 1772*, Mapa geograficzna, statystyczna i drożna Polski w granicach 1772 (od 1851—65 w 10 wydaniach) a także: *Atlas des sept partages de la Pologne*, Atlas siedmiu rozbiorów Polski dokonanych w 1772, 1793, 1795, 1807, 1809, 1813 i 1846 (Paryż 1831 w siedmiu arkuszach kolorowanych).

Po tem następuje pewna przerwa, w której autor nie wydał osobnego żadnego dzieła po francusku. Lecz choć w większych odstępach, po 1837 r. znowu poczynają się pojawiać coraz to nowe dziełka: *Notice biographique sur Thaddèe Kosciuszko* (Fontenaibleau 1837) Rys biograficzny T. Kościuszki i *La Pologne historique, litteraire, monumentale, pittoresque et illustrée*, Polska historyczna, piśmiennicza, pomnikowa, malownicza i illustrowana (Paryż 1835—1845 tomy III. ze 180 rycinami na stali, przełożone w części na angielski, w Ameryce, pod tytułem *Poland historical, literary, monumental and piettoresque dedicates to the people of the U. S. of Amerіea* (New Jork 1841). Żadne dzieło polskiego pisarza nie ma takiego rozpowszechnienia pośród cudzoziemców jak to. We francuskiem wydaniu każdy egzemplarz kosztował 60 franków, a jednakże rozeszło się 15.000 egzemplarzy tego dzieła. Drugie zaś dziełko *Historja polska popularna* miało czternaście wydań i rozeszło się w liczbie 112,000 egzemplarzy!

Tę wziętość i to przyjęcie dzieł i autora samego we Francji sprawiła pierwsza praca o legjonach i stosunki z Lafayettem. Bez żadnych funduszów Chodźko ogłaszał i ogłasza swe prace i na każde dzieło znajduje nakładcę opłacającego jego pracę.

Lecz wróćmy do szeregu wydawnictw.

W r. 1846 ukazało się jego *Les nobles et les paysans* (Paryż) Szlachta i chłopi, a później *La Pologne encyclopedique, de 550 à 1849* (Paryż 1849) Polska encyklopedyczna, a w parę lat obraz statystyczny Polski w 1772 *Tableau statistique de la Pologne de 1772* (Paris 1852) i *Question d'Orient*, sprawa wschodnia, mapa powiększania się Moskwy od Piotra I do Mikołaja I od 1682—1853 z dodatkiem wyjaśniającym i testamentem politycznym Piotra pierwszego (Paryż 1863). Ta praca nadała powszechny rozgłos na zachodzie testamentowi Piotra Wielkiego, który jeszcze podobno prot. O'Nacewicz odgrzebał w archiwach tajnych petersburskich, mając wstęp do nich i wydanie uprzednio ułatwił. Dalej następuje: *Theâtre de la guerre d'Orient*, teatr wojny wschodniej, karta wylewów Moskwy od Ruryka I do Mikołaja I od 862 do 1854 z wyjaśnieniem (Paryż 1854).

W tym samym roku wydał *Carte de la mer Baltique* z wyjaśnieniem, a w czasie wojny pod Sewastopolem *Carte de la mer Noire* z wyjaśnieniem i planem Odessy (Paryż 1855); Historję popularną Turcji od 543 à 1856, *Histoire populaire de la Turquie*, 543 à 1856 (Paris 1856) i *Histoire de la guerre d'Orient*, historję wojny wchodniej ogłoszoną przez *G. Barba* w *Panthéon populaire*.

Wtedy to niektóre możne domy nasze poczęły się udawać do Chodźki o napisanie historji ich rodzin. Z tego powodu wydał po polsku kilka genealogicznych tablic, jako to: Genealogja książąt z Kozielska Ogińskich (w Paryżu 1852); Genealogja rodziny Rawiczów Ostrowskich (Paryż 1859 r.); Obecnie zaś wydaje dwu tomowe dzieło: Historję rodziny Ostrowskich w polskim języku we Lwowie.

Jeszcze w 1859 powstała myśl śród emigracji wydawania życiorysów sławnych Polaków. Wtedy Chodźko napisał: *Tadeusz Kościuszko* z dewizą *usque ad finem*, wyszło ono w Paryżu. Dalsze jednak wydawnictwo w rozmiarach zamierzanych nie nastąpiło.

Autor znowu powrócił do prac francuskich. Wyszły więc: *Carte des pays slavo-polonais au VIII et au IX siècle*, karta krajów sławiano-polskich w 8 i 9 wieku przed najazdem Waregów i Niemców (Paryż 1861); *Carte des Etats de la Pologne au XVI et au XVII siècle*, Karta państwa polskiego w 16 i 17 wieku z tekstem traktatu Polanowskiego zawartego w 1644 między Polską i Moskwą (Paryż 1861); i jedno z najważniejszych dzieł Chodźki, jako rzucających przed oczy Europy ten dramat krwawy galicyjski i rządów bezmyślnych, dzieło: *Massacres de Galicie et Krakovie confisquée par l'Autriche en 1846* Rzezie Galicyjskie i Kraków skonfiskowany przez Austrję w 1846 (Paris 1861). Potem następuje zbiór traktatów, umów, manifestów etc. odnośnych do Polski od 1762 do 1862, *Recueil des traités, conventions manifestes &., relatifs à la Pologne, de 1762*

à 1862 (Paryż 1862). Dzieło to wydane pod przewodnictwem hr. *d'Angeberg*. Do ostatnich francuskich prac jeszcze należy *Type d'un évêque polonais, Biographie du métropolitain Cieciszowski*, typ biskupa polskiego, i biografja metropolity Cieciszowskiego, połączona z wypadkami Polski od 1745—1831, (Paryż 1866). W dziele tem broni on arcybiskupa od zarzutów niesłusznie nań rzucanych i przedstawia go jako wzór kapłana. Wśród klerykalnego stronnictwa Francuzów dzieło to pozyskało od razu wziętość, dla Francuzów nawet ma ogromną wartość. Ale trudno nam się zgodzić z obrazem Cieciszewskiego, który miał jednak i znaczną ujemną stronę i który bądź co bądź konającą ręką podpisał klątwę na powstanie z 1831 roku. Dzieło to jednak jest może najbardziej oryginalne z prac Chodźki.

Mówiłem, że los go wepchnął może wbrew jego woli na popularyzatora rzeczy ojczystych w obec cudzoziemców. Nie zasypiał on żadnej chwili, w której by mógł w miarę sił swoich temu powołaniu zadość uczynić. Ztąd też jego prace nie odznaczają się gruntownie ułożonym planem, oryginalnością i genjalnością obrazów historycznych. Często widać pospieszność pracy i często autor przytacza długie wyjątki innych naszych pisarzy, wykłada rzecz ich słowami, często słowami własnemi wypowiada zdobyte prawdy przez badania innych. Ale zawsze w tych obrazach wyróżnia się sumienność i obfitość wypadków wykazująca ogromną pracę i ogromne zapoznanie się z przedmiotem. Obrazy takie, choćby kompilowane, wartości są niezmiernej nawet dla nas, a cóż dopiero dla nieznających naszego bytu? Każdy Francuz jeżeli czytał cośkolwiek o Polsce to niezawodnie napotkał się z pracami *Szosko*, (jak oni wymawiają nazwisko Chodźki). Dzieci emigrantów polskich uczą się wiadomości o ojczyźnie swej z historji i dzieł Chodźki i napewno znają albo blichtr błyskotny siany dla zachwycenia cudzoziemców lub też fakta podawane przez Chodźkę i w tej formie w jakiej on im podawał. Francja nie posiada dobrej geografji i statystyki Polski. Daty dotyczące tych przedmiotów można by pozbierać po rozrzuconych artykulikach gazeciarskich, lub ostatecznie w dziełach Chodźki. Słowem dla nieznających polskiego języka, nie ślęczących w stosach pargaminów i foljałów odwiecznych nie zostaje nic innego, jak udać się do tej encyklopedji, przyjąć na wiarę dobre strony tam wystawione lub dziwactwa, które niejeden niewprawny cudzoziemiec bierze za cechy charakteru narodowego do swych powieści i tp. Podobni popularyzatorowie dziejów i życia innych narodów są rzadcy wszędzie i to jest przyczyną tego uznania jakie otacza prace Chodźki u obcych. I to objaśnia prawie nieznanie prac jego śród naszych. Autorowi nie chodziło o sławę, nie szło mu nawet o zbyt wielki rozgłos i dla tego na licznych ze swych prac nie stawił nazwiska, lub okrywał się pseudonimem, w miarę tego czy głos zabierany sprawił by większe wrażenie pochodząc od Polaka, lub cudzoziemca. W miarę tego czy mu lepiej wypadało do usposobień pisać artykuły samemu lub tylko tłumaczyć. Słowem, że obraz prac Chodźki Leonarda jest wiernym obrazem tego, co żądała Francja wiedzieć o Polsce. Prawda — jeden człowiek nie umiał i nie był w stanie zaspokoić rozbudzonej ciekawości przez wspólność wypraw napoleońskich, przez niego i później przez powstania nasze i życie narodu porozbiorowe, że potrzebni byli i inni pracownicy olbrzymie usługi dla narodu przynoszący, lecz i Chodźce piękna karta należy w tych usiłowaniach. Działalność Chodźki dowodzi, że nie tylko genjusze mogą prawdziwą zasługę na polu piśmiennictwa oddać narodowi.

O ludziach pracy takiej da się w zupełności powiedzieć to, co Józef *Straszewicz* w dziele *la Pologne et les Polonais* powiada o Chodźce: „Gdy równiny polskie były świadkami tylu dzielnych walk o wolność końcami bagnetów, znaleźli się ludzie którzy rzuceni okolicznościami na zewnątrz ich kraju pełnili posłannictwo trudniejsze i bardziej nużące, chociaż pozornie okrążone mniejszemi niebezpieczeństwami. Polacy mieszkający we Francji obowiązali się oświecać opinję publiczną, wtenczas potężną, i wpływać przez to na postanowienia władz konstytucyjnych odnośnie do powstania Polski. Na czele tych ludzi musimy postawić szanownego Leonarda Chodźkę, historyka i doświadczonego patrjotę, który wypowiedział się przeciwko despotyzmowi moskiewskiemu w czasie, w którym ruch rewolucyjny był zaledwie dalekiem marzeniem..... Chodźko był upoważnionym przez rząd narodowy do pozostania w Paryżu, ażeby popierać w obec Francji sprawę polską“.....

Lecz mylilibyśmy się sądząc, że Chodźki prace ograniczają się tylko na wyliczonym długim szeregu. Oprócz tych prac oryginalnych poprawiał on i ogłaszał drukiem jeszcze inne liczne prace. Do pamiętników Michała Ogińskiego o Polsce i Polakach od 1788 do końca 1815, *Memoires de Michel Ogiński sur la Pologne et les Polonais...* (Paris 1826—7, w 4 tomach), a przetłumaczonych na niemiecki, dodał on *Observations sur la Pologne et les Polonais*, Uwagi nad Polską i Polakami, mające służyć za wstęp do pamiętników M. Ogińskiego (Paryż 1827); *Memoires sur les operations de l'avant-garde du 8 corps de la grande armée, formé de troupes polonaises en 1813*, Pamiętnik o działaniach awangardy 8 korpusu wielkiej armji, złożonej z wojsk polskich przez naocznego świadka, Jła G. N. *Umińskiego* (Paryż 1829); *Desiription du sciagraphe astronomique, instrument propre ou tracé des cadrans solaires et à la solution d'un grand nombre de problèmes astronomiques*, Opis astronomicznego sciografu, instrumentu właściwego ku wyznaczaniu słonecznego kwadranta i ku rozwiązaniu wielkiej liczby zadań astronomicznych, napisał Albert Jastrzębowski (Paryż 1829); *Notice sur les avantages résultant d'une hache-beche*, Uwaga o przewadze wypływającej z obucha... przez Tomasza *Szumskiego* (Paryż 1830); *Oevres complètes d'Ignace Krasicki* ze współpracownictwem Michała Podczaszyńskiego (Paryż 1830), *Esquisse polonaises ou Fragments et traits détachés pour servir à l'histoire de l'insurrection de Pologne en 1830 par une Polonaise*, Szkice polskie albo urywki i rysy mające służyć do historji powstania w Polsce 1830, przez jedną Polkę napisane (Paryż 1831); *La Pologne et le congrès de Vienne de 1815*, (Paris 1831), Polska i kongres wiedeński, *la Pologne et la France en 1830—31*, Polska i Francja w 1830—31 (Paryż 1831); *La Pologne et la Prusse en 1831* (Paris 1831).

Nouvelles de Pologne, militaires et politiques nowiny z Polski wojenne i polityczne (Paryż 1831); *Parallèle des trois constitutions polonaises de 1791, 1807 et 1815*, porównanie trzech polskich konstytucji Joachima Lelewela (Paryż 1852); *La Russie devoilée*, Moskwa odsłoniona przez Michała Bakunina (Paryż 1848); *Tableau de l'Europe orientale ou Recherches historiques et statistiques sur les peuples d'origine slave, magyare et roumaine*, Obraz Europy wschodniej albo poszukiwania historyczne i statystyczne o narodach pochodzenia słowiańskiego, węgierskiego i rumuńskiego przez N. A. *Kubalskiego* (Tours 1834); *La Pologne et les Polonais défendus contre les erreures et les injustices des écrivains français: Ségur, Thiers et Lamartine*, Polska i Polacy obronieni od błędów i niesprawiedliwości pisarzy francuskich Segura, Tiersa i Lamartina przez dawnego oficera wyższego szwoleżerów polskich gwardji cesarza Napoleona I. przez jenerała Józefa hr. Załuskiego (Paryż 1855) trzy wydania; *Recueil complet des manifeste, comptes rendus & du comité central franco-polonais de 1863 à 1867*, Zbiór zupełny manifestów, sprawozdań etc. komitetu centralnego franko-polskiego od 1863—67 (Paryż).

Do tego wszystkiego dorzucić należy kilkadziesiąt pism perjodycznych, w których brał udział Chodźko, a dopiero zobaczymy całą jego działalność. Prawda, że wiele mu pomagała w pracy jego żona, p. Olimpja z Maleszewskich, szczególniej przy wydaniu Polski malowniczej, (gdzie jest i jej portret umieszczony), która pisała nowiny o Polsce i rozpowiadania na tle naszem do *Gazette de France*, *Abeille imperiale*, *La Semaine*, *Le Tour ou monde*, *Le magasin pittoresque &*. Te prace tak liczne na polu historycznem, statystycznem i geograficznem dokonywane we francuskim języku, zwróciły uwagę na Chodźkę i liczne bardzo towarzystwa zamianowywały go swym rzeczywistym członkiem i współpracownikiem. Oprócz wymienionych towarzystw jest on członkiem filotechnicznego francuskiego towarzystwa w Paryżu; Akademji królewskiej w Nansy, założonej przez Stanisława Leszczyńskiego, towarzystwa jeograficznego w Genewie w Szwajcarji, włoskiego towarzystwa historyczno-literackiego Kolombarji we Florencji, instytutu narodowego w Waszyngtonie w Stanach Zjednoczonych. Oprócz tych cudzoziemskich Towarzystw, jeszcze i polskie nie pozostały bez uznania jego zasług. I liczy się on członkiem Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, i towarzystwa historyczno-literackiego polskiego w Paryżu, gdzie jest jednym z bardzo nielicznych członków pracujących nad czemśkolwiek poważnem i pożytecznem. (C. d. n.)

MAŁŻEŃSTWO KAROLCI

przez

MARC BELL.

(Dokończenie).

V.

Bezprzytomna z boleści, Karolina pozostała sama w salonie płacząc bez ustanku. Bezsilność jej była tak wielka, że nie pomyślała nawet o ucieczce i ukryciu łez na odgłos kroków i otwierających się drzwi.

Ponieważ osoba, która weszła, znaczną rolę odegra w naszej powieści, musimy więc słów kilką wspomnieć o niej czytelnikowi. Panna Róża Hoisot miała zaledwie lat piętnaście, kiedy pani Izambert przyjęła ją za pokojówkę dla Karolci, która wtedy była jeszcze ma'em dzieckiem. Od dawna więc bohaterka nasza była przyzwyczajoną do ładnej wyzywającej minki panny Hoisot. Karolcia była zanadto niedoświadczoną, żeby odgadnąć miała na jakie niebezpieczeństwa i nieprzyjemności narazić ją może nie bardzo skrupulatny charakter Róży, lubiła ją też i ceniła bardzo, pozwalając na zanadto wielką poufałość i śmiałość. Od jakiegoś czasu wprawdzie zwróciło to jej uwagę, że młoda pokojówka codziennie ubierała się w nowe wstążki i kra-

watki, ale nie śmiała się jej zapytać zkąd miała tak wspaniałe stroje. Wkrótce potem, odebranie nieszczęśliwego listu, odwróciło jej uwagę w inną stronę, a ponieważ równocześnie z jej zmartwieniem i Róża stała się smutną i milczącą, więc przypisała to przywiązaniu i sympatji, której nie wiedziała gdzie szukać.

Róża weszła do salonu z twarzą ponurą i oczami pełnemi łez. Nie mówiąc ani słowa zbliżyła się do Karolci i uprowadziła ją łagodnie do jej pokoju.

— Panno Karolino — powiedziała — pan chce siadać do obiadu, myślałam więc, że dobrze zrobię nie pozwalając mu iść do salonu po panią. Czy mogę powiedzieć, że pani zejdzie na dół.

Na potakujące skinienie swojej pani, Róża się oddaliła.

Po obmyciu świeżą wodą zaczerwienionych ócz, Karolcia zeszła do jadalnego pokoju.

Pan Izambert z miną ponurą i zakłopotaną, siedział zamyślony od czasu do czasu spędzając muchy, które siadały na olśniewającej białości obrusie. Spojrzenie jakie rzucił na córkę, było badawcze i przenikające do głębi.

Karolcia siadła przy stole jak zwykle i zaczęła rozdawać ustawione przed sobą na półmiskach potrawy. Ręka jej drżała tak silnie, że pan Izambert zaniepokojony cierpieniem malującem się na jej twarzy zapytał tkliwie o przyczynę. Młoda dziewczyna odpowiedziała wymijająco.

Po długiem milczeniu przerywanem tylko brzękiem widelców o talerze, pan Izambert odezwał się pierwszy.

— Jerzy był dziś popołudniu.

— Tak, mój ojcze.

— Więc już wszystko ułożone?

— Ależ przeciwnie, nie chcę iść za mąż.

Na to nieoczekiwane zapewnienie wymówione głosem stanowczym, pan Izambert podskoczył na krześle.

— Doprawdy, jesteś szaloną — wykrzyknął — ofiarują ci partję nieocenioną, a ty ją odrzucasz lekkomyślnie bez żadnego rozumnego powodu. Ależ to szaleństwo! warjacja! głupstwo! Zresztą pójdziesz za niego, przysięgam, że pójdziesz za niego.

Karolcia ukryła głowę w rękach. Słuchała nic nie odpowiadając długich i gorzkich wymówek rozgniewanego ojca, ale wreszcie chwilowe uniesienie dodało jej odwagi.

— Nie — zawołała — nie pójdę za niego, bo nie mogę, nie chcę iść za niego — a widząc, że pan Izambert chce mówić dalej, dodała: Ah! nie odpowiadaj mi ojcze, to niepodobna! niepodobna! Błagam cię, jeśli ci chodzi o zapewnienie spokoju twojej biednej Karolci, to nie wymawiaj nigdy w jej obecności nazwiska pana de Molneys.

Wobec tego dziwnego, pierwszego i najmniej spodziewanego oporu córki, pan Izambert zdziwiony zamilkł. Pomimo swego szorstkiego i zrzędnego charakteru był on dobrym ojcem, z niewysłowionem więc ściśnieniem serca poznał po głosie młodej dziewczyny, że to nie chwilowy kaprys podyktował jej te słowa.

Nie chcąc jej drażnić więcej, zmienił przedmiot rozmowy.

— Odebrałem od mojego starego przyjaciela Soubyran list, który mnie mocno zasmuca — powiedział. Od czasu swego bankructwa cierpi on materjalnie i moralnie w sposób trudny do zniesienia. Może by go zaprosić, żeby się schronił do nas. Co mówisz o tem?

— Więc bardzo kochasz mój ojcze tego pana Soubyran?

— Ale naturalnie, że go bardzo kocham. Zrobiłbym chętnie wszelkie poświęcenie, żeby mu przynieść ulgę w cierpieniu jakie go dotknęło. Jestem przygotowany na wszystko.

— Wszystko to bardzo wiele.

— Nie za wiele dla takiego przyjaciela jak Soubyran.

Objad był ukończony i Karolcia się oddaliła.

Tego samego wieczora dostała silnej gorączki, a wkrótce pomimo troskliwych starań najlepszych lekarzy z okolicy, choroba przybrała zatrważające rozmiary.

VI.

Pan de Molneys dowiedziawszy się o chorobie Karolci, miał pewne nieokreślone podejrzenie, że to on choć mimowolnie stał się jej przyczyną, nie śmiał jednak odsłaniać tajemnicy, jaka wedle jego przekonania okrywała ostatnie wypadki. Przez piętnaście dni żył on w ciągłej i nieustannej trwodze. Pomimo silnego postanowienia, żeby zapomnieć o pannie Izambert, myślał on nieustannie o tej młodej i pięknej istocie walczącej w tej chwili ze śmiercią.

Jerzy od dawna już mieszkał sam jeden w Molneys Początkowo siostrzeniec jego Amadeusz d' Artique, ten sam, któregośmy słyszeli wyrażającego się tak lekkomyślnie o pannie Izambert, przez lat kilka bawił przy nim. Ale złe prowadzenie i szaleństwa posunięte do występku nadwerężyły jego majątek i zdrowie i zarazem poróżniły go z panem de Molneys. Jakkolwiek Jerzy w równym był prawie wieku ze swoim siostrzeńcem, uważał go jednak za swego spadkobiercę i nie myślał się z tego powodu żenić. Trzeba było dopiero złego postępowania Amadeusza i niezrównanego wdzięku Karolci, żeby go naprowadzić na myśl małżeństwa. Teraz wydało mu się, że próba tak nieszczęśliwie zakończona była karą nieba za niedopełnienie dawnych zamiarów. Wezwał więc syna swojej siostry do siebie. Amadeusz nie umiał nawet ukryć w pierwszej chwili radości, jaką mu to niespodziewane postanowienie sprawiło. Z dnia na dzień wiadomości o pannie Izambert dochodzące drogą uboczną do Molneys stawały się bardziej zatrważające. Wreszcie Jerzy nie śmiejąc sam się o nią dowiadywać, postanowił posyłać swego siostrzeńca. Co wieczór więc Amadeusz jeździł do Moras, zkąd powracał przywożąc jak najlepsze sprawozdania. Pan de Molneys nabierał coraz większej otuchy, gdy nagle jak uderzenie piorunu spadła na niego zupełnie nie spodziewana wiadomość.

VII.

Słabe światło dzienne przeciskające się z trudnością przez spuszczoną żaluzją, oświecało około czwartej godziny po południu w Moras bolesną scenę.

Na łóżku ubranem koronkami i niebieskim jedwabiem, Karolcia bezprzytomna opowiadała z nieładem właściwym snom gorączkowym umierających osób, o ciężkich dniach próby jakie poprzedziły jej chorobę. Obok niej podobna do posągu rozpaczy, ruchliwa Róża Hoisot płakała, a w rogu pokoju pan Izambert z głową ukrytą w chustkę na próżno usiłował stłumić łkania. Doktor przy małym stoliczku pisał jakąś receptę a po zakłopotanej jego postawie łatwo było poznać, że nie wielką ma nadzieję zachowania chorej przy życiu.

Nagle głos Karolci złagodniał, wzrok jej stał się pewniejszym i spokojniejszym, pochyliła się ku Róży i powiedziała:

— Róziu, ja umrę, a ty zajmij się tem wszystkiem com kochała, proszę cię. Na terasie stoi moja Osmanda Regalis, wiesz, na lewo wychodząc z salonu, obcięłam jej wszystkie listki, pielęgnuj ją żeby odrosły. A ojciec da ci dużo, dużo pieniędzy, i będziesz mogła wyjść za tego, którego kochasz.

Na te ostatnie wyrazy Róża wydała przeraźliwy okrzyk i wyrwawszy się z rąk Karolci, która trzymała ją silnie za rękaw uciekła nie dając się niczem powstrzymać.

Pan Izambert przysunął się do córki, ażeby podtrzymać jej biedne wychudzone ciało, ale ciało to wymknęło mu się z rąk i jasna główka Karolci podobna do główki aniołka zagłębiła się w koronki okalające poduszkę . . . .

. . . .

Amandeusz d'Artique opowiadał właśnie swemu wujowi jak najlepsze nowiny o pannie Izambert, kiedy ukazała się przed nimi Róża Hoisot. Na jej widok śmiertelna bladość okryła twarz Amadeusza, uchwycił ją za rękę i odepchnął gwałtownie.

— Będę mówić — zawołała Róża — będę mówić przy panu i pomimo jego woli. Panie de Molneys siostrzeniec pański chciał koniecznie przeszkodzić ożenieniu się pana dla zachowania praw do jego majątku. Dowiedziawszy się o zamierzonem małżeństwie z panną Karoliną przybył potajemnie do naszej okolicy zmusił mnie do przyjęcia znacznej sumy pieniędzy, wstążek i strojów i nakłonił do oddania pannie bezimiennego listu. Udało mi się to wykonać. Po znalezieniu przez pannę Karolinę listu w miejscu gdzie go włożyłam poprzednio, wbiegłam do jej pokoju niby przypadkowo. Leżała zemdlona a przeklęty bilet, który z rąk wypuściła, znajdował się jeszcze u jej nóg na podłodze. Podniosłam go i oto jest. Ah! panie! zgryzota sumienia nie długo kazała czekać na siebie po spełnieniu złego uczynku. Pomimo wszystkich moich wstążek w miarę jak panna Karolina stawała się nieszczęśliwą, ja czułam się coraz smutniejszą. Nakoniec dziś popołudniu powiedziała mi, że umrze, a potem z taką dobrocią zajmowała się moim losem, że byłabym umarła z żalu, gdybym nie była mogła przybiedz i wyznać panu wszystkiego... Ale niestety! obawiam się czy to nie zapóźno, doktor nie ma już nadziei. Ah! mój Boże pozwól żeby żyła i żeby mi przebaczyła! Jerzy osłupiały wziął bezmyślnie różowy papierek, który mu podawała panna Hoisot. Po przeczytaniu jego treści obrócił się do Amadeusza straszny, nieubłagany.

— Precz! — zawołał.

I laseczką stojącą w pobliżu, uderzył go po twarzy. Nieprzytomny z bolu i wstydu Amadeusz wyszedł.

Po jego odejściu ściągnięte groźne rysy Jerzego, rozprostowały się, i łzy gorzkie popłynęły z oczów i długo płakał łkając jak małe dziecko.

ZAKOŃCZENIE.

W trzy tygodnie po opisanych powyżej wydarzeniach, pan de Molneys w grubej żałobie

rozmawiał w swoim salonie z panem Guarré, notarjuszem z okolicy. Poruczał mu właśnie sprzedanie Molneys.

— Pan hrabia chce zatem porzucić te strony? — zapytał notarjusz.

— Tak i to jak najprędzej.

— A to dlaczego?

Pan de Molneys nic nie odpowiedział. Żadna siła ludzka nie byłaby go zmusiła do wymówienia nazwiska panny Izambert. Od dnia, w którym otrzymał bolesne zwierzenia, ani razu nie wspomniał jej imienia, ani nikomu przy sobie nie pozwolił go wymówić. W milczeniu tylko opłakiwał tę, którą wybrał sobie za żonę, a którą tak niegodnie zamordowano.

Pan Guarré miał się właśnie oddalić, gdy we drzwiach ukazała się Róża Hoisot. Na widok jej uśmiechniętej twarzyczki i niebieskich kokardek z kokieterją wetkniętych do włosów, Jerzy uczuł dziwny niepokój.

— Na miłość boską co się stało?

—Proszę — odparła Róża podając mu mały papierek wonny i złożony starannie.

„Jestem bardzo zmęczoną i bardzo smutną — mówił ten papierek — byłbyś pan bardzo uprzejmym gdybyś mnie chciał odwiedzić panie Jerzy, jesteś pan tak dobrym, że pewnie nie oprzesz się prożbie rekonwalescentki, oczekuję go więc."

„Karolina"

Jakkolwiek pismo było nierówne i drżące, jednak Jerzy jednym rzutem oka wszystko przeczytał. Zaledwie spojrzał na ostatnie słowo kiedy go już w pokoju nie było i wkrótce pan Guarré i Róża usłyszeli tentent konia oddalającego się w szalonym galopie.

— Czy panna Izambert ma się lepiej? — zapytał notarjusz.

— Nie ma już żadnego niebezpieczeństwa — odpowiedziała Róża wesoło — od dnia w którym wpadła w sen tak głęboki, że myślano, iż umarła, teraz z każdą chwilą zdrowie jej polepsza się.

— Cóż to była za choroba.

— Zapalenie mózgu, zdaje mi się, ale wiem dobrze co je spowodowało. Niepoczciwi ludzie przysłali jej szkaradny list bezimienny pełen fałszów, ażeby przeszkodzić jej małżeństwu z panem de Molneys. Na szczęście znalazłam ten list i zaniosłam go panu, który z łatwością wykazał pannie Karolinie, że to wszystko kłamstwo. To ją uzdrowiło. Ale pan był w złości... Niech pan sam osądzi oskarzono go, że ukradł coś, on co wolałby być powieszonym niż wziąć cudzego fenига.

— Więc kiedy wszystko tak dobrze się układa, to pan de Molneys nie opuści naszych stron?

— Nie myślę.

— Jeszcze jeden interes nieudany, westchnął notarjusz i wsiadłszy na swoją szkapę powrócił do domu.

Na cmentarzu.

Od płotu smereki, jak chorągwie czarne,
Pogrzebowe, ścielą długim słupem cienie
Na mogiłek grzędy i krzyże cmentarne.
Gwiazdami się iskrzy niebieskie sklepienie,
Górą księżyc w pełni mleczną strugą płynie,
Dołem świat się mroczy w mgły tumanach ginie.

Krzyżyki księżyca światłem posrebrzane,
Jak strażnicy wierni grobów pilnujący,
Zdają się wyciągać ramiona drewniane,
Jakoby za dusze tu pod niemi śpiące
Do nieba błagalne modły wysyłały.
I świerki tak szumią jakby psalm szeptały.

W pacierzu zadusznym zda się wszystko tonie,
I ziemia i niebo. Drżący blask księżyca
W każdego krzyżyka lśniącej blaszce płonie,
Jak nad konającym gasnąca gromnica.
Czasem muszka grobom iskierką zaświeci,
Chwileczkę migoce i dalej odleci.

Dzieckiem mi mówiono, że Najświętsza Panna
Schodzi nocą z gwiazdy blaskiem migocącym
Na cmentarze cicho, jak zorza różanna,
Niosąc sny niebieskie duszom na nich śpiącym,
Aby w zapomnieniu wiecznym snem przespały,
Czego tu za życia już nie przebolały.

Jeżeli to prawda święta Matko Boża,
To niech mię biednego jeszcze dzisiaj złożą
Do tego zimnego bladych trupów łoża,
Niech mi wrota grobu motyką otworzą,
Abym w ciemnym grobie, w niebieskiem marzeniu,
Zapomniał o ziemi i ziemskiem cierpieniu.

Niech nad mą mogiłką czarny krzyżyk taki,
Jak anioł stróż boży wyciągnie ramiona,
Niech mi w dzień śpiewają świegotliwe ptaki,
A w nocy krzyżyka cierniowa korona
Niech mi jak gromnica, nad grobem zapłonie;
Róży i jaśminu niech mię poją wonie.

A gdy w taką, jak ta, cichą noc gwiaździstą
Zstąpisz na mogiłki o Marjo święta,
I zwiążesz je z niebem tęczą promienistą,
Dusza moja senna, zachwyceniem zdjęta,
Z grobu jak w wskrzeszenia uleci godzinie,
I łukiem Twej tęczy do nieba popłynie!

Trojan.

O NIEWIDZIALNYCH NIEPRZYJACIOŁACH
ISTOT ORGANICZNYCH

napisał

PROF. KAROL GUTKOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Dodać tu winniśmy, że barwa czerwona pochodzi najczęściej od zwierząt mikroskopijnych tejże barwy, tudzież roślin wodorstami zwanych, z pomiędzy których zasługuje na uwagę pierwotek śnieżny (Protococcus nivalis).

Do powstawania rzeczonych osadów przyczyniają się również deszcze popiołowe i namułowe, które biorąc początek z wulkanów niekiedy ogromne spustoszenia sprawiają. Pył wulkaniczny porwany prądem wiatru rozpościera się na przestrzeni tysiąca kwadratowych mil i zmięszany z wodą deszczową spada na ziemię i powleka bujne plantacje tężejącą krustą, przez co bardzo znaczne sprawia szkody. Największa część ciałek pyłkowych pochodzi z królestwa minerałów. Gdybyśmy śledzić mogli wstecz dzieje każdej drobiny od chwili jej powstania, doszlibyśmy do owych brył skalnych, które dzikim pędem bieżące strumyki górskie z urwistych brzegów z łoskotem odrywają; złomy te w dalszym pochodzie porywane falami burzliwego żywiołu, potrącają się wzajemnie, druzgocą, rozpryskują, a gdy w stateczniejszym biegu opadną na dno rzeki, tworzą osad. Z ubytkiem wody lub ze zmianą koryta osad ten styka się bezpośrednio z powietrzem, schnie, mięsza się z resztkami organicznemi i unosi za pośrednictwem jego ruchliwych skrzydeł w górne warstwy. Bardzo często napotykamy w pyle powietrznym cząstki wapienne i krzemienkowe. Z tymi współzawodniczą częstokroć drzazgi węglowe. W miastach większych w czasie pory zimowej pojawiają się niekiedy w takiej ilości, iż pył w powietrzu przybiera barwę czarną. Dostają się one wraz z dymem z kominów naszych mieszkań.

Drobinom pyłkowatym pochodzącym ze świata mineralnego towarzyszą częstokroć cząstki, których początek jest w świecie organicznym jak np. gałązki skrobi, włókna płótna, bawełny, wełny, skóry, szczątki zużytej odzieży, łuski ze skrzydeł motylich, włókienka piór ptasich itp. Również obficie napełniają powietrze w porze kwitnienia roślin, ciałka pyłku kwiatowego rozmaitego kształtu. Wydzielają go obficie szczególnie te rośliny, u których kwiaty pręcikowe i słupkowe są odosobnione, jak np. drzew szyszkowych. Drzewa te wysypują zwykle dużo siarczysto-żółtego pyłku, który w powietrzu się unosi, a spadając wraz z deszczem na ziemię dał powód do mniemania zabobonnego o deszczu siarczystym.

Wszystkie te wyżej wymienione cząstki pyłkowate, w których się jak to później wykażemy i zarody nieprzyjaciół istot organicznych znajdują, opadają skutkiem działania siły ciężkości na ziemię, najcięższe wcześniej, później lżejsze, a najlżejsze unoszą się najdłużej w powietrzu. Głównem zadaniem umiejętności było rozpoznanie za pomocą właściwej metody tych najlżejszych cząstek pyłu powietrznego. Ku temu celowi posłużyło doświadczenie wykonane w r. 1856 przez dwóch uczonych mężów z Heidelberga (Schroedlera i Buscha). Podobnie jak przy filtrowaniu płynów, cząstki stałe zatrzymują się między włókienkami bibuły, tak i cząstki pyłkowe zawieszone w powietrzu gromadzić można w zwyczajnej bawełnie. Jeżeli przez rurkę szklaną, w której umieszczono zatyczkę z bawełny, przeprowadzać będziemy powietrze, natenczas cząstki stałe w niem zawarte utkną w bawełnie a oczyszczone od nich powietrze dostanie się na zewnątrz rurki. Ci dwaj wyżej wymienieni uczeni spostrzegli dalej, że w naczyniu, do którego dano łatwo gniciu podpadające materje np. mleko, mięso i którego otwór zatkano bawełną, rzeczone artykuły pokarmowe, po poprzedniem przegotowaniu, nie ulegają ani pleśnieniu, ani fermentacji, ani gniciu. Tłumaczono sobie to zjawisko tylko w ten sposób, że unoszące się w powietrzu zarodki wstrzymane zostały przez bawełnę, a czyste powietrze dostawało się do naczynia. Jeszcze ważniejsze pod tym względem doświadczenie wykonał w r. 1868 angielski fizyk Tyndall. Wiadomo, że wiązka światła słonecznego staje się wówczas widoczną, jeżeli przebiega przestrzeń zapełnioną cząstkami stałemi, pyłkowatemi.

Również i w wiązce światła elektrycznego dostrzedz można cząstki pyłkowate i na odwrót — promień świetlny tem jaskrawiej się objawia, im więcej w nim znajduje się nadmienionych ciałek. Tej to właściwości światła użył Tyndall do wykonania następującego doświadczenia.

Przez rurki szklane, w których znajdowało się powietrze za pomocą bawełny oczyszczone prowadził wiązkę światła elektrycznego. Również

uskutecznił to samo w rurkach nieopatrzonych w zatyczki bawełniane. W pierwszych promień świetlny był jasny, w drugich natężenie światła było o wiele mniejsze. Metody tej oczyszczania powietrza z ciałek pyłkowych za pomocą bawełny użył znakomity uczony chemik francuski, Pasteur, do zebrania samych-że tych ciałek celem bliższego poznania ich przrody. Bawełna strzelnicza wydała mu się o wiele odpowiedniejszą od zwykłej z tego powodu, iż łatwiej od pierwszej odłączyć można rzeczony pyłek. Po zebraniu się ich w bawełnie tę ostatnią rozpuścił Pasteur w eterze, skutkiem czego po pewnym czasie rzeczone ciałka opadły na dno naczynia i mogły być użyte do dalszego badania, za pomocą mikroskopu. Inny jeszcze sposób chwytania i zbierania tych ciałek podał francuski fizjolog Pouchet (1860). Przyrząd przez niego *aeroskopem* nazwany składa się z lejka o szerokim otworze i długim a wązkim końcu. Przed tym ostatnim umieszcza się płytę szklanną, powleczoną gliceryną. Jeżeli za pomocą machiny powietrznej wtłaczać będziemy do otworu lejka powietrze, natenczas uchodzić ono będzie końcem wąskim i uderzać o płytę. Cząstki stałe w niem zawarte, utkną w glicerynie, i mogą być zbadane. Jakiejkolwiek zresztą metody użyjemy do zebrania wzmiankowanych ciałek drobnych, wszędzie główne ich znamiona, o ile dotychczasowe badania wykazały, w zasadzie są jednakie.

Prócz wyżej wymienionych cząstek rozmaitego pochodzenia, niepoślednią a może najgłówniejszą rolę jako niewidome nieprzyjacioły istot organicznych grają zarodniki rozmaitych gatunków grzybów i wodorostów. Zapewne wiadomo co są grzyby; myliłby się atoli każdy, gdyby do nich zaliczyć miał tylko owe znane bedłki, pieczarki, trufle itp. Znaczną część onych stanowią drobne mikroskopijne utwory, które nieuzbrojonemu oku przedstawiają się jako delikatne włókienka, do aksamitu podobne powłoki, wiązki białawych, różowych lub zielonkowatych włosków, to znowu jako masy pyłkowate, plamki, kreski itp. Mimo wielkiego bogactwa form budowa ich jest bardzo prosta. Nie mają nigdy ani liści, ani łodygi, ani korzeni. Brak im także barwika zielonego czyli zieleni, właściwej wszystkim innym działom roślin tak skryto, jakoteż jawnokwiatowych. Mikroskopijne są zwykle jednokomórkowe, mnożą się zapomocą podziału komórek a w razie tworzenia się większej ich liczby w postaci niteczek z sobą się łączących powstaje ciało roślinne, plechą grzybową, czyli grzybnią zwane, na którem rozwijają się owocniki, a w nich zarodniki służące do rozradzania się takowych.

Pomijając doskonalsze formy rozmaitych grzybów, zastanówmy się przedewszystkiem nad tymi, którzy są szkodnikami naszych roślin polnych i ogrodowych i sprawcami uciążliwych i niebezpiecznych objawów chorobliwych tak u ludzi jako i u zwierząt, a przynajmniej są statecznymi towarzyszami rozmaitych zboczeń organicznych. Wprawdzie nie brak i takich, które pobudzają i ułatwiają szybki rozkład chemiczny martwych ciał zwierzęcych i roślinnych a usuwając dla innych organizmów szkodliwą, martwą, substancję organiczną, nadają jej najwłaściwszą formę, formę ciał prostszych, które w powszechnem krążeniu materji biorąc udział przyczyniają się do wytworzenia nowej formy życiowej. Szczególniej odbywa się ta rozkładowa działalność za pośrednictwem drobniutkich grzybków, które osiedlając się na obumarłych szczątkach organicznych dokonywają dzi-ła zniszczenia wcześniej, niż takowe same dokonać by tego mogły. Rzućmy np. okiem na pożółkłe liście, powiędłe łodygi, suche źdźbła a uderzy nas wielka rozmaitość form tego małego świata istot organicznych, które aczkolwiek drobne wielkiego dokonywają dzieła.

Z tych samych powodów sprawiają grzyby w pokarmach i napojach, sprzętach i innych do użytku służących przedmiotach, niemniej w samych budynkach bardzo znaczne szkody. Tysiące drobnych gatunków pasożytuje na różnych roślinach i stają się przyczyną grubszej zarazy roślinnej i klęski w zasiewach gospodarskich. Inne wegetują w zwierzętach. Choroba niszcząca tyle jedwabników w zakładach południowej Francji ma źródło swe w pewnym gatunku grzybka pasożytnego, rozwijającego się wewnątrz żyjącej gąsienicy. Niemniej żyją one na skórze, błonach śluzowych i we krwi ludzi i zwierząt.

Skutki działania grzybków pasożytnych objawiają się — jako choroby — na ustrojach organicznych w rozmaity sposób. Mniemanie dawne jakoby zwykle towarzyszyły słabościom, musiało upaść, odkąd za pomocą licznych doświadczeń udało się przez przeniesienie pasożyta na zdrowego zupełnie osobnika organicznego, wywołać w nim tę samą chorobę. Szczególnie ze skutkiem zaszczepiano słabość z jednej rośliny na drugą np. rdzę, zarazę kartoflową. Te same rezultaty osiągnięto i na zwierzętach. Znaną słabość błonicę (diphteritis) wywołują pasożytne bakterje, a przeniesione i zaszczepione w ciele zwierząt wytwarzały tę samą w nich słabość.

(C. d. n)

UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ

SALWATORA FARINA

przekład

A. CALLIER.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XII.

Inżynier Enea absolutnie nic nie rozumie, inni niewiele, Federico pojął wszystko.

W przyszłości, dalekiej przyszłości znajdzie się może filozof w ten sposób definiujący człowieka:

„Człowiek jest dwunożnem zwierzęciem, tworzącym programy na to, by ich nie spełniać nigdy“. A po nim znów inny zabłyśnie może swą wiedzą i tak określi człowieka: „Zwierzę, wiecznie na wszystko szukające definicji.

Podstępny program naszych dwu przyjaciół zależał mianowicie na tem, by postępować bez wszelkiego programu, nie krępować się żadnemi z góry powziętemi formułami, by zawsze mieć wolną rękę do działania i módz postępować i mówić stosownie do nadarzających się okoliczności... ale jak, ale co?... to się już samo znajdzie.

I, by ów filozof przyszłości mógł mieć w zupełności słuszność, za drzwi wyrzucony program kryjomo wprowadzili oknem.

Postanowili oni utwierdzić Gabriellę w tem mniemaniu, że jej fortel udał się jak najwyborniej i wszelkiemi sposoby zachęcić ją do dalszego prowadzenia tajemniczej bezimiennej korespondencji, by tym sposobem nieszczęsnego Federica na inne naprowadzić myśli; obok tego przecież trzeba było o ile możności, złagodzić w niej fałszywe pojęcie, jakie była o nim powzięła.

Ideałem ich planów, koroną, było wzajemne rozkochanie obojga młodych do tego stopnia, by na przekór inżynierowi pobrali się; ale tak daleko nie sięgały nawet najśmielsze ich nadzieje.

Przeprowadzanie tego programu już nazajutrz zaraz weszło w życie. Gabriella bowiem na krótką chwilkę tylko zostawszy sama w saloniku z Gioachinem i Romolem, spytała ich czy to prawda, że Federico był, jak utrzymywał, na balu baronowej, na co otrzymała odpowiedź, że nie było powodu wątpienia o jego prawdomówności.

Gabriella zarumieniła się i już otworzyła usta by coś odpowiedzieć, ale język odmówił jej posłuszeństwa.

— Mężczyźni — począł wtedy Romolo, rozpadają się na dwie kategorje: na tych co szukają; i takich, co już szukać przestali; Federico zalicza siebie do tych ostatnich, ale mimo to szuka przecież.

— Czego szuka? — spytała Gabriella.

— Prawdopodobnie sam nie wie czego; dobry duch jego może mu podszepnął: idź do baronowej, może tam co znajdziesz! i — poszedł.

Gabriella przez chwilę milczała, potem podniosła twarzyczkę, gdzie na przekór wymuszonemu uśmiechowi wypisała się myśl jakaś poważniejsza jawnemi ślady, i — aby tylko coś powiedzieć — spytała:

— Czy i pan, panie Romolo, należysz do szukających?

— Jak sądzę, nie...

— A cóżeś pan znalazł?

Stary kawaler chciał już jakąś nic nie znaczącą dać jej odpowiedź, ale namyślił się i rzekł:

— Znalazłem pokój i wiarę.

— I jam szukała jednego i drugiej — zapewniła Gabriella z zabawną powagą.

— Wiary? — spytał Romolo zdziwiony.

— Tak, i wiary; matka moja jak pan ją znalazła, ojciec nie.

— I ja również nie! — zawołał Gioachino, — szczerze mówiąc nie wysilałem się zbytecznie w tej gonitwie.

— A czegożeś pan szukał?

— Niczego.

— A co znalazłeś?

— Nic.

I oba te rezultaty wypowiedział Gioachino tak szczerze i tak naiwnie, że w jego ustach owe „nic“ brzmiały czemś głębszem jakiemś.

Odpowiedź Gabrielli wprawiła w pewien niepokój serce Romola. Następnie przecież prosił Gioachina, by nie przywiązywał zbyt wiele wagi do słów dziewczęcia, jedyną bowiem rzeczą, której ona szuka w życiu, jest miłość, a tę znalazłszy niezawodnie przekona się że jej nie brak i wiary.

— Zobaczysz — mówił do Gioachina, a raczej może do własnych myśli.

— Zobaczę — odparł przyjaciel — ale w gruncie dla mnie to obojętne najzupełniej; ja pragnę nie tego, by Gabriella znalazła wiarę, ale by znalazła przedewszystkiem męża.

W bezczynnej przeszłości Federica, w jego próżniaczem kawalerskiem życiu były tu i ówdzie jaśniejsze błyski, przynoszące zaszczyt jego charakterowi. Romolo i Gioachino nie zapomnieli o żadnym z nich, a gdy już co do źdźbła wszystko, co było dobrego, rozsnuli przed oczyma „najpiękniejszej w świecie dziewczyny“, nie zawahali

się swego kandydata bez wielkiego zachodu stroić w własne piórka, o tyle naturalnie, o ile tylko zdołali sobie przypomnieć własne poczciwe czyny, gdy zaś i tych nie stało, zapożyczali się od pierwszego lepszego, byle tylko ich ulubieniec wyglądał jak najidealnej.

— No, proszę, któżby sądził, że ten próżny głupiec zdolnym jest do czegoś podobnego — mówiła tylko Gabriella.

— Ten próżny głupiec zdolnym jest do wszystkiego—zapewniał Romolo—zdolnym jest nawet okazać się nie tak próżnym i nie tak znów głupim. Raz...

Łatwo domyśleć się, że tu Federico, jak się okazało z opowieści, dokonał jakiegoś bohaterskiego czynu, godnego rycerzy starych legend, oczewiście przecież nie zwierzywszy się z tem żywej duszy.

— Jakimże więc sposobem panowie dowiedzieliście się o tem?

— O, w klubie przez długi czas o niczem innem nie mówiono — zawołał Gioachino — wiadomo przecież, że nic się nie zdoła ukryć; jeśli o czem ludzie nie mówią...

— Jeśli o czem ludzie nie mówią — przerwała mu z śmiechem Gabriela—to pewnie mówią wierzchowce... świat pełen jest ludzi, skromnych w rodzaju pana Federico, ludzi, co starają się ukryć swą ambicję, by tem większą ztąd wyciągnąć korzyść, natomiast owa naiwna ambicyjka, zadawalniająca się piątym procentem z każdym dniem staje się rzadszą; skromni ludzie naszych czasów każą sobie płacić co najmniej dwadzieścia pięć lub trzydzieści procent.

Gioachino zachwycony był nad wyraz tem dowodzeniem.

— Brawissimo! — zawołał — ja naprzykład należę do tego gatunku. Jeśli mi coś przynosi chlubę, nie myślę z tem się taić; jeślim zasłużył na pochwałę, domagam się jej, boć na nią zarobiłem sobie; to słuszne.

Czuł przytem wewnętrzne zadowolenie, bo śmiało mógł sobie powiedzieć, że idąc za wewnętrznym popędem, hołdował całe życie tej tak słusznej maksymie.

Gabriella, jak zwykle, w kwestji skromności miała własne wytworzone pojęcia i sąd określony, niezbity, raczej pewnie zanadto jak zamało sprawiedliwy. Raz więc począwszy, próbowała dalej rozwinąć swą teorję.

— I skromność wielkich ludzi jest także szczególniejszą skromnością! — zawołała z uniesieniem. — Powiedzcie mi, moi panowie, jaką zasługę ma ten, co nie prosi o kęsek pochwał, gdy go niemi zasypują, i który syt ich jest pokosztowawszy choć części? Jakąż zasługę ma ten, co tai swe w nich upodobanie, gdy mu ta hipokryzja, to kłamstwo poczytane jest za nową cnotę, apoteozowane i wynoszone pod obłoki?

— Najmniejszej zasługi — rzekł Gioachino.

— Skromność — zakończyła Gabriella – jest zbytkowną cnotą; my biedacy nie możemy jej sobie pozwalać, bo by zbyt drogo przyszło naszej próżności ją opłacać; ludziom bogatym, opływającym w zbytek wolno być i skromnymi w dodatku...

—My biedacy nie możem jej sobie pozwalać — powtórzył Gioachino z upodobaniem.

A Romolo, który słuchał tego wywodu z uśmiechem znalazł znów sposobność wysławiania zalet Federica. Przez chwilę słuchała tego Gabriella spokojnie, wkrótce przecież usta jej złożyły się w uśmiech szyderczy.

— Mówiliśmy tu tak długo o skromności a zeszliśmy wreszcie na pana Federico, tego próżnego głupca, który pewnie nie ma ani jednego grzechu skromności na sumieniu; bez zaprzeczeń, panie Romolo, nikt mnie nie przekona, że się mylę w mym sądzie o waszym protegowanym. Raz jeszcze powtarzam: to próżny głupiec.

— A ja powiadam: nie.

— A ja powiadam: tak; czemuż więc czyta wszystkim otrzymywane bezimiennie wyznania miłosne?

— Bo je uważa za żart swych przyjaciół — rzekł Gioachino.

— Czyliż rzeczywiście tak je uważa? — pytała Gabriella.

— Sądzę, że tak...

— A sąż to rzeczywiście żarty?

— Nie zdaje mi się — przerwał pospiesznie Romolo, Federico jest pięknym, bogatym...

— O ile by powodem tego miała być jego piękność, dziwiłoby mnie to — rzekła Gabriella; — jeśli zaś bogactwo, już się nie dziwię.

Romolo przechodził tortury; próbował kolejno to pochwał, to zazdrości, a że nic nie skutkowało, nie wiedział już co począć; doświadczenie przecież na przekor temu jej uprzedzeniu, powiadało mu, że ci dwoje dla siebie wzajem byli stworzeni.

Nieszczęściem Federico nie pokazywał się tu teraz; daremnie wysyłali obaj sprzysiężeni coraz to nowe syrenie pieśni za pośrednictwem gazety, znudzony panicz nie przychodził ich odczytywać w domu doktora Trombetty. Fakt ten przyczyniał się wielce wprawdzie do poprawienia przewrotnych pojęć Gabrielli o młodym człowieku, ale za to ani o krok nie zbliżał tych dwu natur tak dumnych, które Romolo w duszy widział już w więzach Hymenu. Oprócz tego nie sposób było dociec czy Gabriella prowadzi dalej ową korespondencję, która tak ją zdawała się zajmować początkowo. Sądzili, że rozpoczęli zajmującą partję na szachownicy i że kilku zmyślonemi pociągnieniami zdołają pokonać piękną przeciwniczkę, była to przecież przedwczesna kombinacja, bo ten przeżyty Federico i *tem* nawet się nie zajął i ukrył szachownicę milcząc upornie.

Gdy tak dwaj starzy pod naciskiem niepewności zniechęceni w ciemnościach grali dalej rozpoczętą partję, zjawił się jednego dnia wieczorem Federico i zwykłym swym szyderczym, znużonym głosem odczytał nowe znów sprawozdanie giełdowe.

„Wiem żeś rozpoczął poszukiwania jakiegoś zakopanego przed laty skarbu; jesteś bogatym i możesz tak się bawić, bo to pewna, że nic nie znajdziesz; cóż wreszcie w ogóle czynią innego ludzie: jak ty szukają oni bezużytecznych skarbów goniąc od tylu stuleci za prawdą, nigdy dla nich niedościgłą, zapominając wśród tej gonitwy o miłości, co jest prawdziwem ich bogactwem?“

— To styl Gabrielli — szepnął Gioachino przyjacielowi.

— Bezrozumna! — rzuciła Gabriella wpółgłośno — ale jakoś nie płynęło jej to z serca.

— Czy to prawda, że pan nie możesz natrafić na ów skarb? — spytał doktor Rocco.

— Nieprawda; nie dalej jak wczoraj znaleziono tam krzemienną igłę.

— Cóż to za krzemienna igła?

— Aż do dnia wczorajszego i ja tego nie wiedziałem; alem się poinformował i dowiedział, że to jest rodzaj igły... którą posługują się paleontologowie chcąc nią zrobić konkurencję maszynom Singera.

Mówił to sarkastycznym tonem.

— Pan niezbyt szanujesz uczonych? — zapytała Gabriella.

— Pogardzam bezsilną ich wiedzą.

— A dla czegoż nazywasz pan wiedzą bezsilną?

— Ja nic nie umiem, jestem ignorantem, ale sądzę, że kretyn największy jednym skokiem w Nawiglio lub z okna czwartego piętra staje się rozumniejszym od wszystkich doktorów, astronomów i filozofów całego świata.

Wierzy więc w zagrobowe życie — pomyślała Gabriella.

Nieco później nadszedł inżynier; Federico przez chwilę był milczącym, wkrótce się pożegnał.

Przez cały wieczór Romolowi nie mogły wyjść z myśli pewne słowa, wedle niego, głębokie aż do zawrotu głowy.

„Ludzie gonią bezpotrzebnie od tylu stuleci za prawdą, nigdy dla nich niedościgłą, a wśród tej gonitwy zapominają o miłości, która jest jedynem prawdziwem ich bogactwem.“

Powtórzył je nawet raz po cichu Gioachinowi, który chętnie przyznał, że w tych słowach streszcza się pewna częśc duchowych dziejów ludzkości... a może nawet...

— Co?

— No, jak w obecnym wypadku te słowa... wyrzucone przez młodą dziewczynę do młodego i niebrzydkiego mężczyzny... czyż nie wyraziłem się dość jasno?

Wyraził się bardzo jasno nawet, ale mylił się najzupełniej. Bo w tej chwili podniosła Gabriella dumną swą główkę i po długiem rozmyślaniu nad temi słowy oświadczyła, że zdanie to jest absolutnem kłamstwem, a ta, co go napisała, bezrozumną. I na ten raz powiedziała to z serca.

Nie ona napisała te słowa, ale do niej należało odpowiedzieć na nie jak to czyniła obecnie.

Dwaj opiekunowie szczęścia Gabrielli uważali przecież za swój obowiązek wziąć nieszczęśliwego inżyniera na stronę, by go bezlitośnie przygotować na cios śmiertelny.

— Jakże tam postępuje twój stosunek z panną Gabriellą.

— Jest na najlepszej drodze — odpowiedział Enea — codzień odkrywam w niej coś nowego, co mi nowe zapowiada szczęście... Czy wiecie, że ona rzeczywiście jest piękną, najdoskonalej piękną?

— O tem wiemy bez wątpienia — rzekł Gioachino, ale...

— Nie ma żadnych ale, jest klasycznie piękną; ciało ludzkie ulega pewnym prawom symetrji i harmonji we wszystkich swych częściach; i ono ma swą architekturę doskonałą, bezbłędną matematycznie obliczoną; jak mamuta z jednego zęba, a starożytną budowlę z jednego ułomka szczytu można odtworzyć w wyobraźni, tak można również odgadnąć wszystkie ukryte wdzięki pięknej dziewczyny... Pilniem ja ją badał i pewien jestem, że...

— Czyś jej wyznał twe uczucie?

— Nie jeszcze; chciałem pozostawić jej czas by i ona również mogła mnie zbadać z całym spokojem.

— I ty myślisz może, że Gabriella stara się z tego szczytu wyciągać wnioski o twej ukrytej architekturze i odbudowywa sobie w myśli mamuta, którego przeznaczają jej na męża?

— Tegom nie powiedział — zawołał ze

*

śmiechem Enea; — pytaliście mnie jak rzeczy stoją, a ja odpowiedziałem wam, że jak najlepiej; jestem wysoce zadowolony z Gabrielli...

— Czyś ty się też przyjrzał jej nosowi? — zapytał Gioachino — nie zauważyłeś że on nieco ku prawej stronie jest zwrócony?

— To potwarz; jej nos tak jest prosty jak ona cała.

— Ale za to jej religijność mocno chroma— zauważył Romolo; — ona w nic nie wierzy; mogłaby cię potem obdarzyć sceptycznymi synami. A jeśli w dodatku jeszcze wychowanie do tego dopomoże...

— Taką jak jest, podoba mi się — przerwał mu Enea;—ja wierzę i to mi wystarcza; owszem to dobrze, że matka moich dzieci jest sceptyczną, tym sposobem w ich religijnych poglądach będzie pewna równowaga, która, połączona z rozwagą, prowadzi do prawdziwego szczęścia, do prawdziwej z sobą zgody, co w naszych czasach niestety, stało się taką rzadkością. Zwyciężony Romolo popatrzał w twarz pobitemu na głowę swemu sprzymierzeńcowi i obaj połączyli resztę swych sił w rozgłośnym śmiechu.

Następny dzień upamiętnił się niespodzianą katastrofą.

Gdy wieczorem siedzieli wszyscy zebrani w koło kominka i drżeli przed doktorem Rocco, który objawiał skłonność do rozpoczęcia dawnego swego sporu z opatrznością przez małe *o*, w okropnej tej chwili ukazał się inżynier Enea z gazetą w ręku.

Śmiał się, paplał, witał i rozwinął gazetę, wszystko to w jednej chwili.

— Uważajcie państwo — zawołał — ta rzecz staje się coraz szaleńszą; naprzód obrano sobie Federica za cel pocisków, teraz przyszła kolej na mnie, ale to w sposób szczególniejszy, tak szczególniejszy, że ja absolutnie nic z tego zrozumieć nie mogę.

Ta tak silna odezwa do ciekawości obecnych nie chybiła celu i dała inżynierowi czas poszukania odnośnego ustępu.

„Lepiej tę rzecz rozważyłem“ — czytał nieco powoli — „bogaci muszą zawsze szukać skarbu, lepszej części siebie, która dla większej części ludzi długo pozostaje ukrytą. Czysta prawda stoi za wysoko, miłość za głęboko może; a czysta cnota jest miłością i prawdą, zlaną w jedno; spojrzyj dokoła siebie, i popatrz w siebie: wieleż ukrytych skarbów!“

Już przy pierwszych słowach Enei nie uszło baczności Romola, że „najpiękniejsza w świecie dziewczyna“ nalewająca w tej chwili właśnie kawę, upuściła łyżeczkę, a gdy mu następnie podawała filiżankę, zauważył, że była niezmiernie bladą a w kawie nie było cukru.

— Przysięgam, że tego głupstwa ani trochę nie rozumiem — odezwał się inżynier — rozglądam się i nie mogę się dopatrzeć nigdzie owych ukrytych skarbów... tak, gdyby tu chodziło o Federica, który zamierza odkopać skarb jakiś, no, to byłoby jeszcze zrozumiałem, ale cóż ja mogę z tem mieć wspólnego? Bezimienny autor zapewnia, że tę rzecz *lepiej* rozważył, gdyby ją był tylko *dobrze* rozważył, byłby niezawodnie lepiej napisał.

Ponieważ nikt mu nie przerywał, przez chwilę jeszcze zapuszczał się w wielce głębokie te uwagi, aż wreszcie doktor Rocco swym piorunującym głosem wypowiedział straszliwą tę radę na temat nieuleczonych prawdziwie dziecinnych chorób i głupoty pewnych wyrosłych już niestety i aż nadto zdrowych ludzi.

Gdy doktor Rocco tak wybuchał gniewem, zazwyczaj obecni ukryci po za szańcami milczenia wyczekiwali przejścia burzy, na ten raz jednak jeden inżynier tylko był tak ostrożnym, Gioachino zaś i Romolo przysunęli się nieco, by zawiązać cichą rozmowę.

— Ten list przysłał Enei Federico.

— Oczywiście, nikt inny... ale na co?

— Aby nam okazać, że się domyślił wszystkiego.

— Lub przynajmniej, że podejrzywa...

— O Boże! więc wszystko się wydało! — westchnął cichutko jakiś milutki głosik tuż nad nimi.

Była to Gabriella.

— Coś pani mówiła, panno Gabriello?

— Chciałam powiedzieć, że skoroście się wy moi panowie domyślili, to już i pan Federico wie o wszystkiem.

— O czem?

— Żem ja do niego pisała.

Obaj panowie nie mogli jej się przyznać na jakiej drodze zdołali to odgadnąć, by ją przekonać, że Federico ich zdaniem nie miał bynajmniej do podejrzeń powodu; dla tego też Romolo udał zadziwionego i spytał:

— Pani pisywałaś do niego, zawsze pani?

— Nie, nie zawsze.

— Otóż macie! Listy zawierały często przeciwieństwa; w następstwie tego więc Federico musi być przekonany, że ma z dwoma bezimiennymi korespondentami do czynienia — i w następstwie też tego...

— Daremnie chcesz mnie pan pocieszyć; zrobiłam straszliwe głupstwo i naturalnie teraz słuszną tylko odbiorę karę; spotkawszy się z panem Federico zawstydzona przeproszę go, no, i wszystko będzie dobrze.

Gromy doktora Rocco jeszcze nie przeszły a inżynier oczekiwał ich końca cierpliwie pod osłoną swych szańców.

— Ależ nie, Federico pisał do inżyniera, próbował pocieszać ją Gioachino, widocznie więc w nim podejrzywa jednego z dwu korespondentów.

Był to błysk gromu; umysł Gabrielli na te słowa rozświeciła myśl całkiem nowa.

— A więc... widocznie... wybąknęła i z rozpacznym giestem ukryła twarz w obie dłonie.

— Co pani jest? — spytał Gioachino zdziwiony.

— Teraz wszystko już jasne — rzekła dziewczyna z determinacją; — dla pana Federico ja jestem jednym z korespondentów, drugim może inżynier... Gotow posądzać mnie jeszcze, żeśmy działali w porozumieniu... a przecie to nieprawda.

Myśl, że Eneę może kto uważać za współwinowajcę, zdała się jej nieznośną czynić tę odpowiedzialność, którą dotąd zdecydowana była sama dźwigać odważnie.

Obadwaj starzy przyjaciele starali się jeszcze ją pocieszać, doktor tymczasem ukończył już swą kampanję, inżynier swobodniej odetchnął a słońce weszło znowu; o nie, to była pomyłka: „najpiękniejsza w świecie dziewczyna“ wymówiła się czemś i wyszła do swego pokoju, słońce schowało się za chmury a inżynier westchnął.

Tegoż samego wieczora mówił Gioachino do Romola, zanim zagasili światło:

— Gabriellę najbardziej smuci ten domysł, że Federico może ją posądzić o zmowę z Eneą.

— Boli mnie to ze względu na Eneę.

— Mnie niemniej — odpowiedział śmiejąc się Romolo.

— Ale są przecież środki oczyszczenia Gabrielli z tego *obrażającego* podejrzenia.

— A prawda, to *obrażające* podejrzenie.

— Aby ją z tego i innych oczyścić zarzutów, wystarczy nam powiedzieć tylko, że obu nieznajomemi damami *my* byliśmy i że ztąd tylko wynikały niekonsekwencje i głupstwa w korespondencji, żeśmy się poprzednio nie umowili dokładnie...

— Naturalnie! Głupstwa pójdą na nasz rachunek... Ale powiedz mi jakim sposobem Federico odgadł, że ten żart wyszedł z domu Trombettów?

— O to samo chciałem cię właśnie zapytać; jakim sposobem on to mógł odgadnąć?

(C. d. n.)

KORESPONDENCJE

Wrocław, w maju 1879 roku.

(*Powszechna historja teatru Alfonsa Royer'a.— Amerykański teatr.— Nowości literackie z Niemiec.*)

— Alfons Röyer napisał historję teatru pt. Histoire universelle du Théâtre, par Alphonse Royer. Ostatnie dwa tomy wyszły pod osobnym tytułem: histoire du Théâtre Contemporain en France et à l'Etranger, depuis 1800 juspu'a 1875. Paris, 1878, Paul Ollendorff. Dzieło to obejmuje sześć tomów. Francuzi nie umieją pisać dzieł specjalnie i gruntownie naukowych, jak wiemy. Gruntowności też nie widzimy w dziele p. Royera. Autor znany jest we Francji jako librecista. Libreta do „Lucji z Lamermoru,“ do „FawoSryty,“ "Don Pasquala,“ „Otella“ i „Jerozolimy“ z jego pochodzą pióra. Za czasów Napoleona III. był Royer przez dłuższy czas dyrektorem wielkiej opery; pod jego to dyrekcją wystawiono Ryszarda Wagnera „Tannhäusera.“ Jako historyk dramatyczny nie stanie Royer oczywiście w rzędzie powag dla przyszłych komentatorów. Zabrał się on do tej trudnej pracy z „humorem“ felietonisty. Jako Francuz wierzy autor, że scena francuska od 17go wieku bezpodzielnie nad resztą europejskich teatrów panuje, bo tylko ona dzierży w ręku berło smaku i artyzmu. Dramaturgów francuskich 19go wieku dzieli autor na sześć grup. Pierwszą klasę stanowią naśladownicy tak zwanej klasycznej tragedji z Kazimierzem Delavigne'm na czele. W r. 1830 nadchodzi druga epoka, panowanie romantyków, których przednimi przedstawicielemi są: Wiktor Hugo i Dumas. Dramat wypiera teraz tragedją. Napuszony, czczy, głośno brzmiący romantyzm ustępuje miejsca Scribemu, po którym idzie tak zwana szkoła „naturalnego rozumu z Ponsardem na czele. Piątą klasę dramaturgów (Alfred de Müsset Octave Feuillet i George Sand), nazywa Royer „szkołą fantastów.“ Ostatnia, szósta grupa współczesnych autorów dramatycznych Francji (Augier, Dumas (fils), Sardou) jest wedle autora „szkołą realistów“. Klasyfikacja taka nie zawsze się z prawdą zgadza. Najtrwalsze komedje Dumasa (ojca) „Mademoiselle de Belle-Isle, i les dames de Saint-Cyr“ nie dadzą się podciągnąć pod ogólny mianownik: romantyzm, a Ponsard, autor tragedji „Lucrèce,“ zasługuje także na inne miano, bo lepiej byłoby mu z tytułem: przewodnika klasy-

cznej reakcji przeciw romantyzmowi. Dalej nie nazwie nikt dramatów Feuilleta „Dalila, Le roman d'un jeune homme pauvre, la Tentation, Montjoye, Julie“ — utworami fantasty. Feuilletowi lepiej i właściwiej byłoby wyznaczyć miejsce obok Augier'a i Dumas'a aniżeli obok Alfreda de Musset, autora „Fantasis.“ W końcu nie wytrzymuje krytyki analogja trzech ostatnich autorów: Augier'a, Dumasa (syna) i Sardou'a. Zachodzi przecież dość znaczna różnica między autorami: „la ciguë,“ a „la dame aux camélias,“ a „Les pattes de mouche.“ Na Scribe'go autor wcale nie łaskaw. Nazywa go pisarzem bez ideałów, fagasem bezmyślnej, używającej tylko burżoazji, odmawia mu nawet znajomości gramatyki, a przyznaje mu jedynie: znajomość mechanizmu scenicznego. Powodu tej bezwzględnej, a zadziwiająco ujemnej krytyki szukać trzeba pewno w zewnętrznej formie Scribe'go, który, jak wiadomo, do stylisty wyborowego nigdy się nie doprowadził. Francuz nie przebacza nigdy odstępstwa od eleganckiej formy. Rozdział o niemieckim teatrze jest bardzo mierny. Dramata Tiecka, Arnima i Brentana, rozbiera dość obszernie. Jako dowódzców tak zwanych „Schicksals tragödien“ wymienia: Kleista, Grillparzera i Müllnera. Z nowszych dramaturgów wymienia: Gutzkowa, Laube'go, Hebbela, Prutza. O „Urielu Akoście“ Gutzkowa pisze: „Uriel Acosta jest dramatem, posiadającym więcej uczucia, aniżeli akcji dramatycznej. Czytając ten dramat, nie rozumiemy jego powodzenia.“ Dla przykładu, w jaki sposób autor teatr i innych narodów traktuje, niech posłuży kilka krytyk jego: „Pan Bauernfeld napisał kilka drobnych wiedeńskich komedji i publikował tłumaczenie Szekspira z panem Schulmackerem.“ Oto *wszystko*, co pisze o Bauernfeldzie. O Freytagu pisze: „Pan Gustaw Freytag, profesor filozofji, powieściopisarz, żurnalista i liryk, jest autorem komedji „die Brautfahrt,“ „Valentine“ i „Graf Waldemar.“ W ten sposób nie pisze się oczywiście *Historji powszechnej dramatu*, i dlatego nie ma dzieło Alfonsa Royer'a dla innokrajowców żadnej wartości, choć francuski literat może mieć z niego jaki taki pogląd na teatr swego kraju.

Ameryka, która aż do drugiej wojny z Anglją (1812—14 r.) uznanie swej samodzielności w obec Europy wywalczać sobie musiała, nie miała oczywiście czasu do hodowania najpiękniejszego i najtrwalszego kwiatu wszelkich ludów, literatury. Poezje *Williama Cullen Bryanta* wyjąwszy, nie wydała nawet uznana już Ameryka żadnego kwiatu wonniejszego. Aż tu nagle wyrósł na młodej ziemi cały szereg świetnych talentów, których większa liczba zdobyła sobie prawo obywatelstwa w literaturze uniwersalnej. Tak poeci: *Bryant, Longfellow, Poe, Whittier i Bayard Taylor*, tak historycy: *Bancroft, Motley i Prescott*, powieściopisarze: *Cooper i Hawthorne*, filozof: *Emerson*, humoryści: *Holmes, Irving, Bret Harte i Mark Twain*. Jedna tylko gałąź piśmiennictwa czeka dotąd w Ameryce na mistrza: dramat. Aż do najnowszych czasów żywiła się scena amerykańska dramatem angielskim, albo lichemi przekładami niemieckich czy francuskich teatrów. Dramat oryginalnie przez Amerykanina napisany, należał do wyjątków bardzo rzadkich. Gdzież powody? Teatr amerykański nie podniósł się nigdy do spełnienia misji cywilizacyjnej, nie był nigdy instytucją estetyczną lub etyczną, czego żąda Szyler. Dyrektorowie teatralni skazani tylko na własny przemysł i „płacącą“ publiczność, nie zachęcani lub wspierani czy przez rządy, czy książąt, czy też mecenasów prywatnych, stali zawsze na stanowisku pospolitych przedsiębiorców. Jako „entreprenerzy“ nie mogli się puszczać na ryzyka, celem podniesienia sztuki, ani bawić się w mecenasów młodych talentów. Bez trudu i kosztu posiłkował się przedsiębiorca nowościami, z Angiji i z reszty Europy idącemi, za które nic nie płacił, bo przed niedawnemi czasy był autor własnością publiczną pierwszego z brzegu handlarza. Każdy autorów okradał, bogacąc się i tucząc na krwi serdecznej najszlachetniejszych ludzi narodu. Gdy kto groszy kilka ukradł, mianowano go złodziejem, gdy kto na autorze tysiące zarobił, był „przyzwoitym człowiekiem.“ Te czasy publicznych rozbojów skończyły się w ostatnich latach, uregulowane przez odnośne paragrafy konstytucji. Przedsiębiorca amerykański nie byłby rozumnym kupcem, gdyby płacił honorarja krajowym autorom, kiedy się mógł za darmo na mózgach zagranicznych obłowić. Jednakże powód wymieniony był tylko formalnym, zewnętrznym. Właściwy, wewnętrzny powód spoczywa w ustroju społeczeństwa amerykańskiego. Młody, wyrabiający się naród zaatlantycki nie mógł poddać artyście przedmiotów krajowych, bo gdzie potrzeba artystów, tam też wyrosną, choćby dolą ich była: śmierć głodowa! jak wiemy z historji. Tworzenie, a zwłaszcza poetyckie, jest warunkiem życia urodzonych artystów, staje się po krótkim czasie namiętnością, całego unoszącą człowieka, iż ten zapomina o drobnych tej ziemi zabiegach, o tem, co się w najnowszej nomenklaturze, przez pessymistów zredagowanej, nazywa „walka o byt.“ Brak materjału w dziejach amerykańskich, brak potrzeby pieśniarzy w narodzie „kupców i ratajów“ będzie właściwym powodem nieobfitego plonu artystycznego. Dzieje młodej Ameryki są bardzo trzeźwe, więcej logiczne, rozważające skutki. Nawet wybitne nowszych czasów postacie, jak: Washington, Jefferson, Franklin nie mogą zapalić poety do apoteozy. Za mało w nich poezji, za wiele rachunku. A choćby nie to. Za świeża jeszcze ich pamięć, aby mogli posłużyć artyście do „poetyckiego“ obrobienia. Jak mało Amerykanie rozumieją stanowisko „narodowego-teatru“, niech posłuży fakt: kiedy rzeczpospolita obchodziła stuletnią rocznicę swego istnienia, nie przyszło Amerykanom na myśl, aby wielką tę chwilę uczcić jakim patrjotycznym dramatem. Pominąwszy sam akt wyswobodzenia (rewolucją), nie nadają się i późniejsze dzieje do obrobienia artystycznego. Johna Browna powstanie, wojna domowa, a nawet zamordowanie Lincoln'a nie zawierają w sobie dramatycznych konfliktów. I komedja obyczajowa nie ma tam jeszcze przysposobionej roli, bo do komedji potrzeba wyrobionych stosunków społecznych, a mianowicie skompletowanego „towarzyskiego“ życia, czego w Ameryce jeszcze nie ma. Wszystko tam nowe, świeże, wyrabiające się dopiero. Dramat amerykański składał się przez długi czas tylko z tak zwanych „Minstrel shoros,“ były to luźnie dramatyzowane sceny z życia murzynów; komiczne, formą i treścią „prymitywne“ obrazki, których wartość po jednorazowem zużyciu spadała do zera. Więc o właściwym teatrze amerykańskim nie może być mowy. (Dok. nast.)

KRONIKA NAUKOWA.

przez

B. ABAKANOWICZA.

(„Cuda“ najnowsze. Zöllner i spirytyzm. Telefony Machalskiego i Gowera. Sprawozdanie komissji Rady miejskiej paryskiej o oświetleniu elektrycznem. Pappyrograf Zuccatiego i ołówek woltaiczny Belleta i Hallez d'Arros. Przesyłanie siły za pomocą elektryczności.)

Cuda? i kronika naukowa?!

Niestety, w zakres sprawozdań naukowych wejść muszą i zboczenia umysłowe, które od czasu do czasu pojawiają się w kołach powag naukowych i ztamtąd w kształcie zabobonów rozchodzą się między publicznością, wierzącą imionom zajmującym wysokie stanowisko w dziedzinie wiedzy.

Panującą chorobą obecnie tak w Europie jak i w Ameryce Północnej, jest spirytyzm, który przycichł na chwilę, lecz teraz z zdwojoną siłą pojawia się epidemicznie.

Kilka głównych i dobrze nauce zasłużonych imion w Anglji, nie wahało się ogłosić gorącemi zwolennikami wywoływaczy duchów, pokazujących swe figle po tyle a tyle franków za godzinę. Crookes odkrywca pierwastku Talu, radiometru i warunków równowagi w ultragazowym stanie, Varley, słynny elektryk, Huggius, astronom i kilku innych, obcują przy pomocy *mediów* z jakiemiś tworami fantazji. Ogłaszają potem swe hallucynacje w pismach, i fałszywej nauce jednają coraz nowych zwolenników.

W Niemczech choroba dotąd z trudnością się przyjmowała. Z wyjątkiem kilku odosobnionych osób, mających nieco wyższe wykształcenie i orszaku głupców idących w ich ślady. Dziś i tam zaczynają majaczyć na dobre, a ogniskiem ruchu spirytystycznego stał się Uniwersytet lipski z Zölnerem słynnym filozofem i astronomem, Fechnerem, Weberem i jeszcze paru innymi. Zölner wydał książkę o zjawiskach spirytycznych, w których opisuje swe doświadczenie z osławionem medjum noszącem nazwisko Slade'a i daje nową teorję owych pseudo-zjawisk nowego rodzaju.

Zabawni muszą być ci profesorowie, siedzący przy pukających stolikach!

Osobistość Slada zasługuje na szczególniejszą uwagę. Pokazywał on dawniej swoje figle w Anglji i to za dobre pieniądze. Przez długi czas puszczał tumany i robił wyborny *business*. Nareszcie jacyś dziarscy doktorowie, nie obawiający się zemsty istot pozagrobowych, położyli koniec całej farsie! Slade pokazywał sztukę, dość pospolitą, mianowicie pisało się na tabliczce pytanie, wstawiało się ją na moment pod stół i po wyciągnięciu znajdowano odpowiedź już gotową, nakreśloną zawsze na zawołanie lokajską ręką duchów. Otóż wspomnieni wyżej doktorowie chwycili tabliczkę w chwili gdy miała być pod stół włożoną i odkryli już zręcznie przygotowaną odpowiedź. Zrobił się skandal okrutny a sprawa poszła pod sąd i Slade został skazany, mimo cudownej pomocy duchów, za zbrodnię oszustwa, na karę przepisaną ustawami. Jednak adwokaci znaleźli jakąś nieformalność, i medjum miało dość czasu uciec po za granice Anglji.

Rozpoczęła się wtedy wędrówka po stałym lądzie. Slada wypędzano zewsząd, jak gdyby był rzeczywistym prorokiem. Podczas swej niemieckiej wyprawy poznał się z Zölnerem i potrafił mu zawrócić zupełnie głowę. Fatalne tabliczki piszące zostały usunięte na drugi plan i zajmo-

wano się przeważnie zawiązywaniem cudownych węzełków na sznurkach. Przed posiedzeniami, pan profesor brał zwykły sznurek konopiany, kilka stóp długi, łączył oba końce i przyklejał je lakiem z własną pieczęcią do stolika. Oto własne jego słowa opisujące doświadczenie. „Sam wybrałem jeden z czterech przypieczętowanych sznurków i ażeby go ani na chwilę nie stracić z oka, przed usadzeniem się za stołem, zawiesiłem sznurek naokoło mojej szyi, mając ciągle na oku pieczęć łączącą oba końce.“ Na pieczęci Slade położył swoją rękę i jeden z obecnych to samo uczynił. Obie ręce Slada były ciągle widoczne, a jednak w biały dzień, przed oczyma kilku obecnych zawiązały się węzły na sznurku i to nie węzły takie, które mogą być w zwykły sposób zrobione wtedy, kiedy przynajmniej jeden koniec sznurka jest wolnym.

Żeby opisać teorją Zöllnera „objaśniającą“ te fakta, przypomnijmy sobie naprzód sposób w jaki węzły takie się robią. Naprzód robi się na sznurku mała pętelka a potem przez pętelkę przesuwa się wolny koniec sznurka. Otóż, żeby módz zrobić węzeł, trzeba mieć taki jeden koniec wolny, a przy doświadczeniu ze Sladem, takiego końca nie było, bo był on przypieczętowanym do stołu.

Zöllner powiada, iż medjum takie jak Slade, obdarzone jest zdolnością poruszania przedmiotów w „czwartym rozmiarze.“ Cóż to ten czwarty rozmiar? Linja prosta ma jeden rozmiar — długość; płaszczyzna ma dwa — długość i szerokość; przestrzeń ma trzy rozmiary — długość, szerokość i wysokość. Powiadają, że w fantazji naszej przypuścić możemy i czwarty rozmiar. Zöllner powiada, że on nawet rzeczywiście istnieje. Co to ma być — nie wiemy.

My ludzie, na powierzchni ziemi, jesteśmy istotami trzyrozmiarowemi, i mamy pojęcie tylko o tem, co się w przestrzeni trzyrozmiarowej dzieje. Lecz wyobraźmy sobie, że istnieją osoby dwurozmiarowe, których świat mieści się na jakiejś płaszczyźnie i przedstawmy także sobie, że owe istoty dwurozmiarowe, nie mające najmniejszego pojęcia o trzecim rozmiarze, bawią się sznurkiem i robią węzeł. Taki węzeł dwurozmiarowy jest mniej skomplikowanym. W płaszczyźnie, w której się ten światek porusza, dość jest skrócić jedną część sznurka o 360 stopni, zrobi się pętliczka i węzeł jest gotowy. Taki węzeł, my, istoty trzyrozmiarowe, rozwiązalibyśmy zwykłem podniesieniem części pętliczek do góry i odkręceniem. Oba końce sznurka mogłyby być przy tem jak najdokładniej przypieczętowane. A istoty dwurozmiarowe uczynić by tego nie mogły, bo nie mogą części pętliczki podnosić do góry, do trzeciego rozmiaru i jedynie rozwiążą węzeł wtedy, kiedy jeden koniec sznurka będzie wolnym. Wezmą go wtedy i obrócą w płaszczyźnie napowrót o trzysta sześćdziesiąt stopni.

Zöllner powiada więc, że my możemy to robić czego nie mogą uczynić istoty dwurozmiarowe, tak, jak istoty posiadające władzę poruszania się w czwartym rozmiarze, w rodzaju Slada rozwiązują i zawiązują węzły w sposób którego pojąć nie możemy. Jak dla owych dwurozmiarowych istot dziwnem byłoby rozwiązanie opisanego wyżej węzła, przez istotę trzyrozmiarową, tak samo dla nas jest dziwne, to co robią medja spirytyczne.

Żeby bliżej to wytłumaczyć, opiszemy jeszcze jeden przykład. Dajmy na to, że na płaszczyźnie w której żyją istoty dwurozmiarowe zakreślonem jest kółko, istota dwurozmiarowa z takiego kółka wydostać się nie może, bo nie ma trzeciego rozmiaru, gdy tymczasem my, podniósłszy nogę do trzeciego rozmiaru, do góry, z łatwością wyjść możemy. Nas kółko nie zamyka, ale natomiast gdyby nas ktoś nakrył kloszem, tobyśmy się żadną miarą z pod niego, bez usunięcia go na bok, wydostać nie mogli, chyba żebyśmy podnieśli nogę do... czwartego rozmiaru!...

Lecz dosyć tych frazesów — których wartość czytelnik z łatwością sam oceni. Z mojej strony przepraszam za dłuższe zatrzymanie się nad przedmiotem godnym więcej politowania, niż uwagi. (C. d. n.)

Kronika tygodniowa.

Szczególniejszym zbiegiem okoliczności, sądy galicyjskie w ubiegłym tygodniu, dwa razy miały do czynienia z karaniem przestępstw, do których dały powód zwierzęta wyjęte z pod opieki Towarzystwa ochrony zwierząt i nazywające się tak brzydko, że wstyd mię przed szanownemi czytelnikami prawdziwego ich nazwiska wymienić. Najprzód pan Underka Jan a nie Franciszek (proszę sobie tę różnicę imienia zapamiętać) skazany został na zapłacenie grzywny złr. 300 za to, że pilnując się ściśle zakazu objawionego w piątem przykazaniu boskiem, nie zabijał tych nieczystych stworzeń, lecz czekał aż przypadek jaki pozbawi ich życia, i dopiero wtenczas używał ich mięsa do kiełbas, salcesonów i innych przysmaków wędzonych obracanych na posiłek współobywateli lwowskich. Wprawdzie pan Jan Underka (nie Franciszek) tłumaczył się, że czynił to z czystej miłości bliźniego, bo właściwie pokarm ze zdechłej nierogacizny tylko dla siebie i rodziny swej przygotowywał, lecz ces. król. Sądy tyle dbałe o stopień zdrowotności galicyjskiej, za tę miłość bliźniego kazały mu zapłacić tylko 300 złr. grzywny. Teraz zachodzi pytanie, kto nam zapłaci za stracone zdrowie i koszta kuracji, jakie pożywcze produkta w ten sposób przez p. Jana Underkę przygotowane, pociągnęły za sobą. Podług słuszności pan Underka powinien wszystkich kuntmanów swoich wysłać na kurację do Karlsbadu i dać utrzymanie rodzinom, których ojców truł swojemi wędlinami.

Drugi wypadek zdarzył się w Jaśle, lecz do niego nie należał p. Underka, ale p. Potoczny, szczęściem że to było indywidum rzeczywiście potoczne, bo się potaczało od zbytku spirytualnych napojów, jednak indywiduum to nazwane c. k. jeometrą katastralnym, poważyło się, i to w chwili kiedy mamy wybierać posłów do Rady państwa zarządzającej krajami z tej strony Litawy, nazwać nas tem samem mianem jak się nazywały ofiary noża pana Jana Underki. Zatem c. k. Sąd w Jaśle, kazał zatoczyć tego pana na miesiąc do kozy za obrazę honoru narodu reprezentowanego w parlamencie Austrjacko-Węgierskiej monarchii. Otóż z tego wszystkiego pokazuje się, że już o tyle dojrzeliśmy politycznie, że nie damy sobie żadnym Precliczkom ani Potocznym w kaszę dmuchać, i jeżeli idzie o honor narodowy, potrafimy go bronić solidarnie. A skoro już sądy nasze wzięły się do tej sprawy, to wypadałoby jeszcze pociągnąć do odpowiedzialności i takie indywidua, które zajmują się zadawaniem kalectwa temu, co naród ma najświętszego, to jest językowi, albowiem niepodobna dłużej ścierpieć aby pastwiono się nad tym biednym językiem polskim przez takich przybyszów i tolerowano zmuszanie nas do niemczyzny.

Wszystkie wyższe umysły naszego społeczeństwa, zajęte są obecnie wyborami do przyszłej Rady państwa, piszą się odezwy do narodu własne i komisowe, ustanawiają się komitety, komiteciki i komiteczki, wszędzie ruch, gotowanie się do walki z wiatrakami, boć za co innego dzisiaj jak za wiatraki panów Moskalofilów uważać nie można. Okropnie spuścili nosy, wiedząc, że wiatr, który im dotąd służył, zaczyna się zwracać prosto w oczy.

Za nimi poszli i żydzi, którzy podobno jeszcze lepiej znają się na wiatrach, a skutkiem tego odrazu przerobili się na polskich patrjotów. Zatem wszelkie mamy szanse zwycięztwa, zwłaszcza jeżeli redakcje pism tutejszych pozwoliły sobie pozamykać usta na takzwane kłódki solidarności, a Czas krakowski na wszystkie stony trąbi, aby jak jeden mąż stanąć w opozycji przeciw Rządowi, prawo o bezpośrednich wyborach do Rady państwa uważać za niebyłe, a kandydatów na krzesła poselskie szukać tylko w naszym Sejmie. Rzeczywiście zadziwiającą jest odwaga tego pisma znanego z potulności dla wszystkiego co wychodzi ze sfer urzędowych, i dlatego ten objaw nielojalności jego bardzo dobrze został tu przyjętym, choć raz miejmy swoją politykę i wybierajmy z grona tych, którzy dali się poznać całemu narodowi galicyjskiemu, jako ludzie stojący za tradycyjno-konserwatywno-posłuszną polityką.

Po za wielką sprawą wyborów, wszelkie inne zdarzenia lwowskiego świata schodzą na drugie miejsce. Proces Towarzystwa kredytowego miejskiego idzie niepostrzeżenie dzień po dniu i już spowszedniał. Teatr spadł w cenie tak co do liczby uczęszczających, jakoteż i personalu... tudzież sztuk w nim grywanych. Wszystko co żyje używa wiosny, mleka i szparagów. Mamy już czereśnie i raki, mamy mnóstwo ładnych kostjumów wiosennych na ulicach, a w tych kostjumach taka wiosna życia, że dalibóg człowiek zapomina o wszystkich wielkich kłopotach świata tego i chciałby tylko pić z tej krynicy wiosny bez miary i pamięci.

Na zielone święta gotuje się dosyć uciech publicznych we Lwowie, w pierwszy dzień stowarzyszenie „Gwiazda“ urządza festyn na górze Zamkowej, Stowarzyszenie Pracy kobiet obiecuje coś podobnego z loterją fantową w ogrodzie po jezuickim, Pedagogowie wybierają się do Brodów na Walne Zgromadzenie swego Towarzystwa, Politechnicy jadą do Krakowa, członkowie Towarzystwa tatrzańskiego w góry, a reszta zwyczajnych śmiertelników na różne majówki pozamiejskie. Na przyszły więc tydzień będziemy mieli moc materjału do sprawozdania kronikarskiego, jeżeli deszcz nie przeszkodzi, a Duch święty ześle dość animuszu do zabawy i zechce podczas swej uroczystości widzieć wesołe twarze, gorące serca i porozwiązywane języki.

* * *

Towarzystwo Przyrodników odbyło już przedostatnie posiedzenie w tym roku szkolnym. Przemawiał na niem w dalszym ciągu o teorji sił a mianowicie „*O mniemanej sile powszechnego przyciągania*“ p. Ochorowicz, dowodząc, że w nowszym rozwoju nauki pierwotna myśl Newtona

została skrzywioną przez uznanie przyciągania powszechnego jako siły, podczas gdy sam Newton nie przesądzał jego przyczyn twierdząc tylko, że zjawisko to istnieje i że się da ująć w znaną formułę matematyczną. Prelegent wykazywał, że formuła ta w niektórych względach doprowadza do sprzeczności z doświadczeniem, i że przyciąganie zarówno jak i odpychanie nie tylko nie mogą być uznane jako skutki odrębnej siły, ale nadto że są tylko objawami pozornemi, których przyczyna da się sprowadzić do zasady mechanicznej prężności gazów, a mianowicie powietrza i powszechnej materji ultra-gazowej zwanej eterem.

Z powodu tego wykładu wywiązała się dyskusja, w której zabierali głos profesorowie: Żmurko, Gostkowski, Kamieński i prelegent. Następnie przemawiał p. Dunikowski, opisując dokonane przez siebie odkrycie znacznych pokładów torfu w okolicy Gródka i Czerlan, z których fabryka czerlańska będzie mogła przez 30 lat ze znaczną oszczędnością kosztów czerpać materjał opałowy. Wreszcie p. Petelenz przedstawił nowe niemieckie tablice przyrodnicze, pożyteczne do nauki w szkołach i nadmienił, że w Bóbrce odkryto pokłady *gagatu* (węgla), który może być użyty na wyroby drobnych przedmiotów galanteryjnych, byle tylko znaleźli się dość śmieli przedsiębiorcy. Zauważyliśmy na tem zebraniu znaczną ilość słuchaczy uniwersytetu w charakterze gości, co dobrze świadczy o chęciach naszej młodzieży korzystania z każdej pracy pożytecznej.

Na następnem, ostatniem posiedzeniu przemawiać będzie Dr. Fabian, oraz przeprowadzi się dyskusja nad tem, w które strony ma się odbyć tegoroczna wycieczka Towarzystwa.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** „Śpiewnika Polskiego“ zeszyt 9, zawierający piosnki religijne i religijno-narodowe, opuścił już prasę drukarską.

*** Pracowitość Kraszewskiego przechodzi ludzkie wyobrażenie o siłach i możności pojedyńczego człowieka!

Niezmordowany mistrz nasz, niedość iż zasypuje wszystkie czasopisma swemi utworami, że wydaje rocznie dziesiątki tomów, ale w dodatku tak mało dba o swoje oczy, zdrowie i—rękę, iż nie waha się na długi czas zaprządz do niewdzięcznej pracy przepisywania, skoro tylko uzna, że materjał godzien tego trudu..

Będzie to brzmiało prawie bajecznie, gdy powiemy, że pożyczywszy z bibjoteki zakładu Ossolińskich we Lwowie znany rękopism pt. „Liber generationis gentis Chami“, zawierający 1.000 stronnic in folio, skopjował go własnoręcznie (nie zaniedbując swych zatrudnień), w przeciągu miesiąca!

A jednak tak było istotnie...

„...Odebrawszy manuskrypt — pisze czcigodny jubilat — wziąłem się do studjowania go, ale rychło przekonałem się, że studja potrwałyby nad miarę długo.

„Pomimo, że pisany sucho, że śmiecia w nim mnóstwo, że z tej rudy ledwie gdzieniegdzie świeci pruszynka złota — zdaje mi się tak ważnym dla mnie do historji obyczaju w Polsce w latach 1600—1640, iż zdecydowałem się przepisać go w całości „ad verbum,“ a siedząc dzień i część nocy, oto dziś po miesiącu pracy dojechałem do końca.

„Zmęczyłem się jak pies, ale nauczyłem się wiele i zrobię z tego ciekawe bardzo studjum...“

Ten młodzieńczy zapał do pracy, ta żelazna w niej wytrwałość, każą uderzyć czołem przed tą niezmożoną energją zjawiskowego człowieka, wobec którego my wszyscy, uważający się za pilnych i gorliwych w pracy, jesteśmy tylko... pracowitymi próżniakami!

*** Odczyty wchodzą teraz w modę w Paryżu. Największe znakomitości literackie wstępują na katedrę i wygłaszają prelekcje, wobec natłoku słuchaczy.

Tej zimy Renan zapowiedział szereg odczytów

Zaproszono Gounoda, używającego sławy bardzo dobrego mówcy i deklamatora do współudziału w tegorocznej serji.

Dumas syn, odczyta także jakiś nowy utwór, a Daudet wygłosi swoje „wspomnienia“, drukują się obecnie w „Illustration“.

Członkowie „Komedji francuskiej“ bawią obecnie w Londynie, gdzie mają dać szereg widowisk w jednym z większych teatrów stolicy.

Przy tej sposobności ofiarować mieli znakomici artyści przepyszny album w upominku księciu Walli.

Dedykacją w rodzaju przedmowy napisał Dumas, na końcu zaś dodał od siebie następujący dopisek:

„A teraz niechaj mi wolno będzie mojemu przyjacielowi, p. Febure (dyrektorowi trupy), podziękować za zaszczyt, jaki mi uczynił — podając sposobność przedstawienia Waszej Wysokości tego z dramaturgów francuskich, którego dzieła najmniej miały szczęścia być przedstawionemi w Waszym kraju“.

Jak wiadomo, przedstawienie na scenie wszystkich niemal utworów młodego Dumasa zostało w Anglji zabronione dla swej demoralizującej tendencji.

*** Dochody redaktorów amerykańskich dzienników są prawie bajeczne!

P. Charles Dana, redaktor nowojorskiego „Suan“, pobiera 12,000 dolarów.

Tyleż ma p. Whitalew Reid, redaktor „Trybuny“.

P. Charles Nordhoff czasami tylko pisuje korespondencje do „Heralda“ i pobiera za to 10,000 dolarów.

P. Hascal, redaktor „Boston Herald, otrzymuje również 10,000 nawet w tej chwili, gdy dla wypoczynku podróżuje sobie po Europie.

Panu Harry Walterson z „Louisville Corrier“ płacą 7,500 dolarów.

Redaktorowie „Harpers Wecklej i Word“, zarabiają rocznie około 10,000 dolarów każdy.

Dwie polityczne korespondencje w Waszyngtonie mogą w przybliżeniu przynieść 40 do 50,000 dolarów.

A u nas?

*** Nowy a może najświetniejszy dar dla Kraszewskiego.

Będzie to srebrny na marmurowej podstawie przycisk wysokości 12 cali.

Przycisk ów przedstawiać ma: Apoteozę Kraszewskiego.

Znajdować się na nim będzie grupa, złożona z dwóch osób, żmudzina i żmudzinki.

Postacie te w strojach miejscowych z emblematami rolnictwa, sierpem i snopem, wieńczyć będą popiersie jubilata na kolumnie wsparte.

Podstawa kolumny zdobna w herb żmudzki przedstawiający żmudzina trzymającego tarczę.

Na tarczy umieszczony zostanie odpowiedni napis.

Kompozycję tę, świetną w artystycznem ułożeniu, wykonywa znany artysta-rzeźbiarz p. Kazimierz Ostrowski.

*** W Wiedniu zapowiedziane szumnie przez p. Sacher-Masocha „odczyty na temat galicyjski“ robią zupełne fiasco. Krzykliwie a najnieumiejętniej wypowiadane przezeń nowelki z życia izraelitów Galicji wschodniej są nędzną ramotą, bez ładu i sztuki, a ze złą wiarą skleconą. Na drugim odczycie panowały zupełne pustki, wskutek czego paszkwilista zmienił salę lekcji (z teatru) na mniejszą, koncertową. Sporządzona według jego kodeksu „definicja artystek wiedeńskich“ oburzyła też wszystkich słuchaczy, którzy z prelekcji przed końcem uciekli. Prasa chłoszcze p. Sacher Masocha bezlitośnie.

*** P. Józef Śliwiński z Krakowa otrzymał na Uniw. Jagiellońskim doktorat medycyny.

*** Gabinet Archeologiczny Krakowski otrzymał od Bartynowskiego pieczęcie i ryciny, od Drohojowskiego grot strzały z Czorsztyna, od Brandysa tabele numizmatyczne, od Doleczka szyszak polski z XVII w.

*** Na posiedzeniu komisji balneologicznej krak. prof. Olszewski podał wynik rozbiorów chemicznych zdrojów w Krynicy. Dr. Korczyński mówił o wpływie czynników klimatycznych na przebieg chorób chronicznych, a Dr. Skórczewski o stacjach klimatycznych w Hiers i Meranie.

*** W Tow. Pedagogicznem Drohobyckiem miano następujące odczyty: p. Polak „O początku i rozwoju romantycznej poezji polskiej“. O. Skrzeszewska „O wycieczce do Szczawnicy, Pienin i Czorsztyna“. K. Hille „O Annie Jagiellonce“. K. Omyszkiewicz „O szkole i wychowaniu w XVIII w.“ W. Kisielewski „Rzut oka na epokę Saską pod względem życia politycznego, umysłowego i społecznego.

*** Na posiedzeniu wydz. historycznego Tow. Przyj. N. w Poznaniu odczytano rozprawę „Walka stronnictwa słowiańskiego ze stronnictwem niemieckiem przy wyborze biskupa djecezji szczecińskiej (1191—1195) wraz z poglądem na dzieje słowian dawniej tamże zamieszkałych“.

Wiadomości społeczne.

*** Wspaniały pałac hr. Branickich we Francji Montresor doznał uszkodzenia przez ogień, który zniszczył kilka dzieł sztuki.

*** Spółka stolarzy lwowskich obchodziła rocznicę 25 letniego istnienia.

*** P. Stremayr, minister oświaty, zezwolił na dawanie nagród w szkołach ludowych, co dotąd było niedozwolonem.

*** Tow. Przemysłowców Polskich w Wrocławiu obchodziło 5 maja uroczyste posiedzenie a p. Józef Głębocki miał odczyt.

*** W Poznańskiem grono ludzi poważnych ma wydawać czarną księgę lichwiarzy i dostarczać prokuratorom materjałów do oskarżeń tych pijawek społecznych.

*** Spółka rolnicza w Tarnopolu liczy 130 członków z 530 udziałami, obrót 4,100,000 złr., wysłało 80,000 stukillogramowych worów zboża za granicę.

*** Szkoła rolnicza w Wschowie została ostatecznie zorganizowaną przez otwarcie pierwszej klasy, nowych uczniów wstąpiło 15, razem jest 49.

*** W Rawiczu, w W. Ks. Poznań., odbędzie się 13 maja wystawa bydła włościańskiego.

*** Państwo niemieckie posiada dotychczas ogółem złotej monety za 1,695.541,335 marek, a mianowicie podwójnych koron za 1,262,393,920 marek, koron za 405,178,270 marek i półkoron za 27,969,145 marek.

*** Z dniem 15-ym maja oddano w Niemczech do użytku publicznego pięć nowych dróg żelaznych, a mianowicie z Gross-Strelitz do Tost, od Koblentz do Ehrang, od Naustettin do Schneidemühl, od Berlina do Sangerhausen i piąta uboczna łącząca Poznań.

*** Dyrektorem wielkiej opery paryzkiej mianowany jest Vaucorbeil, dotychczasowy komisarz rządowy teatru lirycznego.

*** *Temps* donosi z Bombaj, iż w dniu 13 maja wybuchł w Punah gwałtowny pożar. Szkoła rządowa, gmachy sądowe, urząd pocztowy i policyjny oraz 50 prywatnych domów stało się pastwą płomieni. Ogólnie mniemają, iż pożar powstał wskutek podpalenia.

*** *Standard* pomieszcza z Lahory telegram, z którego się okazuje, iż i w tym roku zagraża Indjom srogi głód.

*** Z Anglii donoszą, iż reprezentanci około 120,000 robotników, pracujących w kopalniach królestwa, postanowili żądać 10% podwyżki wynagrodzenia; w razie odrzucenia żądań nastąpiłaby ogólna zmowa.

*** W Neapolu redaktorowie pomniejszych dzienników: *Posta* i *Rabagas* powitali się na ulicy strzałami z rewolwerów. Jeden z nich ciężko ranny. Policja obu zaaresztowała.

*** W Rotterdam. Dyrektorzy afrykańskiego towarzystwa handlowego, Pincoffs i Kerdyck, uciekli potajemnie, gdyż okazało się, iż od 7 lat przedstawiali oni akcjonarjuszom fałszywe bilanse; w mieście silne wzburzenie.

*** W Dessau zmarł Franciszek Diener, nadworny

śpiewak, tenorzysta przedniejszy z niemieckich. Diener obdarzony był głosem rzadkiej metaliczności. Śpiewał zaledwie lat kilka, koleje bowiem zbyt burzliwe odebrały mu siłę niedawno. Padł on ofiarą choroby umysłowej.

*** W Berlinie w tych dniach na jednym z placów legła pod gołem niebem kompanja nieszczęśliwych emigrantów, wracających w najwyższej nędzy z Brazylji. Są to przeważnie włościanie z cesarstwa, Król. Polskiego i Prus. Ofiary te łatwowierności nagie i głodne, pozbawione wszelkich środków do życia, jako tako zaopatrzono. Nazajutrz wszyscy ruszyli na dworzec kolejowy, umieściwszy się w wagonach dla bydła przeznaczonych.

*** Klub ekscentryczek. Artystki trzech teatrów paryzkich zawiązały nowe stowarzyszenie, a raczej utworzyły nowy klub kobiecy, który obok Blanqui'ego zajmuje dzisiaj najbardziej opinję publiczną w Paryżu.

Przed kilkoma laty istniał już w stolicy Francji oryginalny związek blondynek, który się zbierał w słynnej traktyjerni Vefour'a.

Tylko jasnowłose piękności mogły do niego należeć; członkinie nadzwyczajne musiały przywdziewać blond perukę, albo farbować sobie włosy.

Nowy klub, zawiązany przez artystki z Gymnase, Vaudeville i Palais Royale, ma na celu... zjadanie dwanaście smacznych obiadów w roku, podczas których artykuł 4-ty ustawy wymaga, aby biesiadniczki mówiły o mężczyznach jak najgorzej.

Wszystko, co tylko jest męzkiego rodzaju, musi być przedrwiwane; panów stworzenia nazywać wolno tylko po imieniu i mówić o ich złych stronach, bo to najłatwiej utrzymywać może wymianę zdań.

Wyjątek stanowią dyrektorowie teatrów, którzy — według brzmienia artykułu 5-go — „jeżeli są jeszcze niekiedy mężczyznami, to przecież zawsze do aniołów należą“.

Którakolwiek z członkiń chciałaby o swoim dyrektorze źle się wyrazić, musi wpierw na trzy dni przed uroczystem obiadem uwiadomić o tem komitet; skargi mogą być wnoszone wszelako przyciszonym głosem.

Statuta nie pozwalają podczas zebrań mówić o polityce, ani o żadnych rzeczach „z budą“, t. j. z teatrem związek mających, a najmniej o sprawkach i tajemnicach zakulisowych.

Ciekawa rzecz, o czem właściwie te panie rozmawiać będą?

I powiedzieć tu, że Paryżanki nie są pomysłowe w zabawie!...

SARAH BERNHARDT.

Kto nie słyszał o niej? komu choć raz nie obiło się o uszy to nazwisko znakomitej artystki francuskiej?

Jest piękną — to mało, chociaż dla kobiety już bardzo wiele; jest młodą, przynajmniej tak wygląda — to jeszcze więcej; jest słynną aktorką, znakomitą w swoim zawodzie, uwielbianą, niezrównaną, jak utrzymuje krytyka paryzka, jest „premierą“ „komedji francuskiej“ — ba!... następczynią Racheli — a to już pretekst do... nieśmiertelności.

Powiadają wprawdzie zawistne koleżanki, że ta „ruda żydówka jest chudą, jak tyka chmielu“, że ta faworyta wielkiego Wiktora Hugo illustruje sobą znane jego zdanie: „w każdej kobiecie jest szkielet“, z tą małą poprawką, że ona jest tylko samym szkieletem kobiety, powiadają nareszcie, że nie cierpi mężczyzn, bo... ale co nas reszta obchodzi.

Dość na tem, że Sarah Bernhardt jest wielką.

W tragedji nie ma sobie równej na francuskiej scenie, a może i na wielu europejskich, ale sztuka dramatyczna nie wyczerpała wszystkich jej talentów.

Sarah Bernhardt maluje, Sarah Bernhardt rzeźbi, Sarah Bernhardt jest autorką „Podróży napowietrznej w balonie Giffarda“ — Sarah Bernhardt została wreszcie naszą koleżanką.

Mówimy to ze stanowiska ogólno dziennikarskiego.

Zaczęło w Paryżu wychodzić nowe pismo pod tytułem „Le Globe“, pełne wiadomości, artykułów, korespondencyj z całego świata, ożywione, urozmaicone, etc. etc. — a co najważniejsza, szczycące się współpracownictwem Sary Bernhardt.

W Paryżu to dość; w Paryżu ta okoliczność zdolna zapewnić pismu byt i wziętość w przeciągu jednej doby.

Otóż w „Globie“ pojawiły się artykuły znakomitej artystki dramatycznej, będącej jedną z najznakomitszych rzeźbiarek zarazem.

I od czegóż zaczęła swoje współpracownictwo w tym dzienniku?

Od krytyki, od ostrej krytyki, śmiałej, zajmującej, motywowanej i podpisanej całej nazwiskiem: „Sarah Bernhardt de la Comédie Française“.

Jest w tem trochę czelności, powiedzielibyśmy nawet: dużo: gdyby to zdanie nie odnosiło się do paryżanki; a wiadomo przecież, że one czelność zaliczają do przyrodzonych rysów charakteru.

Jest w tem podpisaniu się całym tytułem coś wyzywającego, ale iluż krytyków z profesji zdobyć się na taką odwagę nie może.

Jest nadto dużo pretensji kobiecej, lecz kiedy się jest piękną, młodą, utalentowaną, sławną i uwielbianą— to od takich pokuszeń trudno się uwolnić.

Panna—(bo i ten tytuł należy się jej do wszystkich innych), panna Bernhardt wystąpiła tedy z krytyką utworów sztuki, wystawionych w tegorocznym „Salonie“ paryzkim.

Nie pominęła nic i nikogo, nawet o swoim portrecie malowanym przez Bastiena Lepage napisała kilka wierszy zganiwszy poprzednio inny utwór tego artysty.

Oto odnośny ustęp z recenzji: „Bastien Lepage wystawił zajmujący obraz, portret pewnej znanej artystki dramatycznej; jest ona przedstawioną w profilu, zapatrzona w statuę Orfeusza. Portret ten przedziwnej delikatności pendzla. Karnacja świetna, skończona, włosy wybornie malowane, biała suknia odcina się wcale zręcznie od białego tła portretu. Obraz ten, to prawdziwa symfonja białych kolorów. Bastien Lepage należy niezaprzeczenie do tych powołanych, którzy w sztuce spółczesnego malarstwa pierwszorzędne stanowisko zająć mają“.

„Globe“, chcąc podnieść tak rzadki w dziennikarstwie (reklamującem się) wypadek, jak pozyskanie tego rodzaju feljetonistk, zamieścił jednocześnie opis wizyty jednego z współpracowników swych u Sary Bernhardt.

Sekretarz redakcji został umyślnie wydelegowany do odniesienia korekty znakomitej artystce.

„Znalazłem domek — pisze on — cały bluszczem pokryty od strony Avenue de Villiers. Na drzwiach dębowa tablica nosi dewizę: „Quand meme!“ a jakby dla jej złagodzenia na progu jaśnieje gościnne powitanie „Salve“. Wpuszczono mnie do bardzo wysokiej, bardzo obszernej pracowni, której rozmiary nikną wprawdzie wskutek nagromadzenia mnóstwa przedmiotów. Kwiaty, posągi, meble z rozmaitej epoki, rozmaitego stylu, księgi, wazy z egzotycznemi roślinami, smyrneńskie kobierce, osłony, kotary, draperje, na ścianach dziwaczne tapety chińskie, szczące i niepokończone obrazy na stalugach, chińskie potwory, japonska porcelana na kominku, statuy z marmuru, bronzu i miedzi, Bóg wie co jeszcze, a w pośrodku tego wszystkiego kobieta w białej aksamitnej sukni, ta sama, którą podziwiają w portrecie Bastiena Lepage. To pani tego oryginalnego salonu, to Fedra, Dona Sol, to — Sarah Bernhardt“.

I dopiero zaczyna się spowiedź z każdego słowa, z każdego mknięcia dużych, sarnich oczu na pociągłej twarzy, ożywionej nerwowo, tych oczu, które piękna Sarah umie tak ślicznie przewracać na scenie, że sufler zapomina często języka, Mounet-Sully, grywający z Sarą zazwyczaj pierwszego amanta, zapomina swej roli, a publiczność w swej brzydszej połowie wzdycha, że się omal... kuliśy nie chwieją.

Bez żartu!— oczy ma panna Bernhardt piękniejsze zapewne od swej biblijnej imienniczki, a deklamować umie niemi lepiej nawet, niż wiśniowemi ustami, które często przygryza i spieczone gorączką odwilżać musi.

Jest w tych oczach niebo, czyściec i piekło, tylko ziemi jak najmniej.

Ziemię zostawia ona swym koleżankom, sama płynie w etery, a przy swojej powiewności mogłaby się tam chyba wznieść, jak łabędzi puszek za podmuchem wiatru.

Powiadają (ale tylko złośliwi), że balon Giffarda, którym Sarah codziennie robiła wycieczki w powietrze, nabierał jakiejś szczególnej lekkości, ilekroć w łódkę wsiadła, jak gdyby ona jego, nie on ją unosił.

Pan sekretarz „Globu“ prowadził rozmowę długą z mistrzynią i dowiedział się, że ona uważa siebie jeszcze za uczennicę w malarstwie, ale z czasem ma nadzieję doprowadzić do prawdziwego artyzmu; bo wszystko, czego się tylko tknęła w dziedzinie sztuki, wszystko się jej zawsze udawało.

Zarzucano jej że się rozdrabia, że zanadto wiele rodzajów sztuki uprawia, ale według jej zdania, artystka powinna szukać i studjować piękno we wszystkich jego formach, we wszystkich kierunkach; sztukę dramatyczną zresztą uważa ona za niższą od innych, ale mimo to, czyni wszystko, aby na scenie dojść do ideału, najpotężniejsze sprawiać wrażenie, poruszać tłumy, grać na ludzkich duszach, jak na fortepianie.

Ach! gdyby tylko na fortepianie tak samo grać mogła jak na sercach publiczności. Uwielbia ona muzykę, oczarowuje się nią, zachwyca, ale instynktownie, nerwowo, sama przyznaje, że jej brak zmysłu muzykalnego, że nie rozumie muzyki. Natomiast rzeźbę i malarstwo kocha całą duszą, czci i szanuje, uważa za dwa jedynie twórcze rodzaje sztuki, zapewne z wyjątkiem poezji i w porównaniu ze sztuką aktorską, która zawsze w większej części musi być naśladowniczą.

— Teatr daje mi 35 — 50,000 franków rocznego dochodu — rzekła w końcu — obrazy moje i rzeźby przynoszą mi także znaczne zyski, mogę tedy niezależnie dogadzać moim skłonnościom i zamiłowaniom, a to, co sobie świat komponuje na moje „conto“, to mnie mało obchodzi.

Naturalnie, albo się jest wyższą ponad poziom języków ludzkich, albo się nią nie jest; panna Sarah Bernhardt jest nią i basta.

Jedno trzeba jej przyznać, pracuje jak wyrobnik, nie jak wielka artystka.

Szesnaście godzin dziennie poświęca pracy; wstaje bardzo rano, ubiera się szybko jak żołnierz w obozie; dwie godziny dziennie rzeźbi, potem przyjmuje krawców i wydaje dyspozycje co do kostjumów, odczytuje listy, załatwia korespondencje, daje posłuchania „lepszym znajomym“, zasiada wreszcie do śniadania, przy którym nigdy długo nie bawi.

Wreszcie potrzeba iść na próbę, wieczorem do teatru grać, lub pisać, albo uczyć się ról; często do północy rzeźbi, lub maluje.

Pamięć ma oryginalną; uczy się bardzo szybko, ale równie szybko zapomina role i często w sztuce, w której przynajmniej dwieście razy występowała, po krótkiej przerwie musi na nowo zaczynać naukę pamięciową.

Jak wiadomo „komedja francuska“ letni sezon spędzić ma w Londynie.

Sarah Bernhardt nie jest z tej wycieczki artystycznej zadowoloną, ale ma to przekonanie, że angielska publiczność będzie ją tak samo uwielbiała, jak francuska; jedzie zatem zupełnie spokojną.

Postanowiła całe swoje „atelier“ zabrać z sobą. Nie mogłaby żyć bez niego nad Tamizą. Wszystkie dłuta, młotki, pendzle, palety i stalugi wraz z kostjumami i rolami popłyną na drugi brzeg kanału za piękną artystką, która bądźcobądź jest fenomenalnem zjawiskiem w sztuce.

Ale, jeszcze jedno... W dzisiejszej Francji ona z panem Gambettą stanowi parę mającą największą pretensję do losu z powodu — tuszy; ona, że utyć nie może — on, że zanadto tyje. Zresztą oboje są ze swoich ról zadowoleni.

Treść Nr. 18.

Z drukarni Dziennika Polskiego. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.